

TYGODNIK ILLUSTROWANY



APPIUS CLAUDIUS, PROWADZONY NA MÓWNICĘ
Z wystawy w Wenecji.

E. MACCARI

A. GRZYMAŁA-SIEDLECKI:

BUDZISZ.

I.

Nie o *Dniach politycznych* Józefa Weysenhoffa, jako o książce—i nie o jej zaletach lub wadach będzie mowa poniżej, lecz o tej postaci jej naczelnej, Apolinarym Budzisz, jako o typie polskim.

Wierzę bowiem w to gorąco, że Budzisz stanie się kiedyś u nas znakiem pewnej zbiorowej cechy, jak stał się rejent Milczek, jak stał się Zagłoba i w. in.

Zagłoby stanie najbliżej może p. Apolinary Budzisz. Nie tylko przez nutę humoru, rozpowieć nad jednym i nad drugim przez ich autorów. Budzisz mimo wszystko jest dalekim krewniakiem Zagłoby. Co prawda, w Polsce każdy szlachcic musi być spowinowacony z całą szlachtą polską; Budzisz jednak może się wykazać i częstką krwi Zagłoby.

Przewidzieć przedewszystkiem niezbyt trudno, że pokój, nie wojna, polityka, rezonowanie, słowem, to, co się za dawnych czasów nazywało poprostu: „gęba”, że to wszystko nie-rycerskie rzemiosło, nie-awanturniczość jest istotnym żywiołem Budzisz. Tę właściwość wziął po Zagłobie.

Więcej zresztą może, niż po Zagłobie, wziął ją po wsi polskiej. Inaczej mówiąc, jeden i drugi wzięli swoją naturę po wsi.

Albowiem wiele się zmieniło u nas od wieku XVII-go, od wojen kozackich, od łgarstw Zagłoby. Zmieniła się ekonomicznie i wieś polska. A jednak, jak za dni „Potopu”, jak później za dni „Pana Tadeusza”, tak i dziś przecie jeszcze wieś nasza nie przestała być streszczeniem spokoju, wypoczynku, jakiejś harmonii, no i... rozleniwienia. Dzisiaj może jest przeżytkiem uczuciowym takie sumaryczne pojmowanie wsi. Dużo jednak w tym przeżytku pierwiastków, dających się udowodnić.

I słodkość woni letnich lip, i żądza spokoju po pracy, w niejednym dniu wiejskim tak intensywnej, że mieszczuch padłby trupem po takim trudzie fizycznym; i ta cisza, płynąca od pól, od łąk, od zarosłych do cna sitowiem leniwych stawów; i to pewne zamknięcie się wsi w sobie, odosobnienie od nerwowych targań wielkiego, a gęstego zbiorowiska:—wszystko od poetyczności do formuły socjologicznej składa się tutaj na wolniejszy rytm nerwów i umysłu.

To też nie żadne teorie, nie te lub inne zwycięskie prądy umysłowe, które szumią po szerokim świecie, zrobiły nam takiego, a nie innego pana Apolinarego Budzisz, którego poznajemy ku naszej ucieście w *Dniach politycznych*, lecz poprostu wieś.

Te właśnie zagony, idące prostolinijnie po łanie hen aż... do sąsiedniej wsi, ta spokojna rodność ziemi, ta bierna wytrzymałość naszych dróg i mostów, pozostających pod wzmoczoną chyba opieką Opatrzności, ten jędrny zapach wykłoszonych pszenic i jęczmieni, ta leniwość i nieruchomość wód wiosennych, no i wreszcie ten, mimo wszystko, sentyment sielski, ten jeden jedyny pozostały, który nas jeszcze zawieść może w widzenie tamtej

Polski, Polski lirycznej—oto są składniki biologiczne, z których się wiąże, bez żadnego obcego dodatku, rzekłbyś, prosta i przejrzysta duchowość Budzisz.

To też niejedna wiara Budzisz, głosząca wśród najtrudniejszych i najgroźniejszych wypadków, że wszystko idzie ku dobremu, „dobrodzieju mój”, że wszystko się wyklaruje szczęśliwie, niejedyn optymizm Budzisz mniej jest zasadą lub szczegółem stronnictwa, do którego się zapisał z duszą i z ciałem, a więcej zwyczajnem rozszerzeniem tej wiejskiej pewności, że Mateusz potrafi przejechać po najgorszym mostku, nawet gdy jest pijany.

Niejedyn naiwny Budzisz plan odrodzenia ojczyzny, niejedno dziecinne wskazanie pana Apolinarego nie tyle jest zaślepieniem sugestii partyjnej, ile właśnie tysiącletniem doświadczeniem duszy rolniczej. Doświadczenie to uczy, że podstawą urządzeń życiowych jest *cud Boski*: oto się spokłada i zaorze ziemię, wrzuci się w zagon trochę tylko ziarna, a potem *samo* wyrośnie i pomnoży się w plonie. Tę podstawę poglądu na świat przenosi Budzisz do działań politycznych i socjalnych.

Budzisz w przeciągu jednego tygodnia chciałby uczynić ład w narodzie—i wierzy, bo jego instynkt wiejski nie znosi denerwujących dysharmonii. Pragnie, by i w dziedzinie psychicznej, socjalnej wróciło wszystko do ciszy, do tego błogosławionego stanu stawów bez fali (niech się nawet zamula, bestya, jeśli chce), gajów bez szumu (tak się dobrze na darni pod dębem marzy, że Pan Bóg da przecie urodzaj). Niechby sobie zresztą w „polityce wewnętrznej”—wobec słonecznej pewności dobrego jutra—powiał czasem mały, maleńki wietrzyk: przy takim powiewie najprędzej schnie siano na pokosach, owies na garściach.

Z tej właśnie wiary, z tej potrzeby wiary w ciche jutro wypływa cała komiczna pewność siebie i pewność projektów Budzisz. Z tego wypływa ta niezwykła bez troska jego polityki oświatowej, ekonomicznej, miejskiej i t. d. Ta prostota zamiarów, idących równo i łatwo, jak skiby po łanie, w dal daleką, nieraz aż przez... pół parafii.

Albowiem cała budziszowa parafia utkana jest z tej samej wiary. Przypomnijmy sobie ostatnie karty drugiego tomu *Dni politycznych*. Oto przychodzi hiobowa wieść o zamknięciu drugiej Dumy i o groźnych konsekwencyach nowej ordynacji wyborczej. Przypomnijmy sobie, jak wówczas i ksiądz proboszcz, i sąsiedzi, pan Paweł i pan Gaweł, a w gruncie rzeczy i sam Budzisz znajdują odruchowe wytlómaczenie tego nieszczęścia:

— Nie było w Kole polskiem Budzisz!

I w instynkcie sielskiej parafii nieszczęście to schodzi do stopnia wypadku. Niema się znowu czem tak martwić. Wszystko się naprawi: Budzisz się wybierze w nowej kadencji, a on już: „ho-ho!”

W nabrzmiałej ciszy umysłowości fakt ten historyczny nabiera w tej w chwili podobieństwa do zepsucia się kieratu:

— Wojtek bestya szarpnął końmi za-

nadto, i gdzieś jakaś mutra pękła czy coś, dobrodzieju mój.

Wypadek dyabło niemiły, bo cała młóckarnia musi stanąć, no ale ostatecznie za pół dnia, albo jutro przyjedzie mechanik z miasteczka, i on już: „ohol!” Kierat pójdzie, jak chodzi już, dzięki Bogu, w trzecim pokoleniu.

Wojtka się skłęto dla przykładu i dla tradycji; w gruncie jednak rzeczy odczuwa się w tej chwili dlań rodzaj uczucia, podobnego do wdzięczności. Wojtek bowiem dał sposobność wyjazdu do miasteczka po mechanika. Mógłby po mechanika pojechać pierwszy z brzegu fornał, ale zawsze to lepiej samemu przejechać się. Na nudy wiejskie, na przepracowanie folwarczne Boskim darem takie zepsucie się kieratu. Wszelki rachunek sielskiego prawdopodobieństwa wskazuje, że gdzieś w okolicy zepsuł się inny jeszcze odwieczny kierat, że właściciel kieratu skłął też swojego Wojtka i że zjechał do miasteczka po mechanika. Grzechemby było nie wypić z sąsiadem kieliszka wina i nie pogadać o urodzajach i o ojczyźnie.

Tęsknota do błotnistego miasteczka jest bowiem niepodrzedną smugą w historii naszych prowincji ziemiańsko-rolniczych. Bez wątpienia potrzeby ekonomiczne zrodziły w Polsce jarmark, a uczucia religijne—odpust. Myślę jednak, że gwarność jarmarków, a solennosc odpustów podtrzymuje monotonia wsi.

Jedzie się na odpust, by się wypowiedzieć, to prawda; jedzie się na jarmark, by coś kupić, ale ponad potrzebą sumienia w pierwszym wypadku, ponad potrzebą interesu w drugim szmerze w pocziwej duszy wiejskiej nadzieja zobaczenia ludzi, posilenia się potrawami stałymi i płynnymi w liczniejszej gromadzie, wreszcie, pogadania szeroko i długo *de publicis*.

Za dni Rzeczypospolitej do odpustu i do jarmarku przybywał jeszcze sejmik.

Nauka historii naszej zgodziła się już na pewnik, że podstawą konstytucji polskiej były nie sejmy, lecz te właśnie sejmiki, te zjazdy wyborcze po małych prowincjonalnych miasteczkach, gdzie ambitni magnaci urabiali przy małmazji dzieje Rzeczypospolitej.

Aby wiedzieć, czem był taki sejmik, w czem leżała jego siła, dziś należy już badać pożółkłe papiery, dokumenty. Przed laty kilkudziesięciu jeszcze było to rzeczą zbędną: wystarczyło wówczas na pierwszym lepszym odpuscie wiejskim przyjrzeć się braci-szlachcie, wznoszącej zdrowie ks. kanonika, „który, jak nikt inny, umie celebrować”. Ta potrzeba entuzjazmu, z którą przychodzi na świat jednostka lechicka, ta miłość beztroskliwej gromady, no i wreszcie ta sposobność ucieczki od żmudnej, bądź co bądź, gospodarki wiejskiej—to wszystko, jak w zwierciadle, odbijało się w czerstwych, wąsatych twarzach, nabrzmiałych jakimś rozrzewnieniem. I doczytać się wówczas w twarzach tych nie było trudno, że w tej właśnie chwili, z tą dozą węgrzyna pod czupryną, w tej atmosferze bezpodmiotowej miłości cała kompania gotowa bić się, gdyby zaszła potrzeba, o księdza kanonika i o jego reprezentatywne zalety.



PORTRET MOJEJ SIOSTRY
Z Salonu paryskiego

D. MUKUŁOWSKA



SUKNIA CHIŃSKA
Z Salonu Albert Hall w Londynie

ULISSE CAPUTO

Apolinary Budzisz i po trzeźwemu, i w codziennej psychologii swej jest jednym z tych kompanionów z za parafialnego stołu odpustowego. Nie zatraciła się w nim dawna żyłka bezinteresownej zbiorowości. Jak jego praojciec saski, tak też i on ma w żyłach potrzebę sejmikowania. To znaczy potrzebę wypicia i wyściskania się z sąsiady z jakiegokolwiek powodu. Tradycja republikańska i lektura szkolna o Rzymie sprawiały, że powodem najczęstszym stawało się „dobro Rzeczypospolitej”.

Przypomnijmy sobie, jakich przeobrażeń doznaje p. Apolinary Budzisz, gdy do zacisznego domu jego zjeżdżają dwaj reprezentanci potężnego stronnictwa i obarczają go misją agitowania po powiecie na rzecz tegoż stronnictwa. Budzisz nie odbierał już wykształcenia u o.o. Jezuitów, i obce mu są ćwiczenia we wzorach cnoty rzymskiej, a jednak jakiś wiew dziedzictwa układa wówczas jego gest, jego słowa, jego refleksję, jego podkłamywanie samego siebie w rytm tego samego trzeci-rzewnego, trzeci-przekłętego, a trzeci-śmiesznego patosu, którym się okłamywała ta nie spisywana, parafialna i powiatowa historia naszych dziejów w XVII i XVIII w.

I nie wyjechali jeszcze za bramę budziszowego dworu panowie Hyc i Kotulski, gdy Budzisz każe czem prędzej zaprzęgać i wybiera się w objazd po sąsiedzkich dworach. Ponosi go radosna myśl, że będzie to jakby ciągły odpust, albo ciągły jarmark, ciągłe obcowanie z ludźmi, a pozór stokroć ważniejszy od złamanej mutry w kieracie: bo „dobro publiczne”.

Kto się lubi pocieszać, ten w ochocie pana Apolinarego odnajdzie łatwo naprzykład

atawizm pospolitego ruszenia, ową gotowość rycerską, gdy idzie o *potrzebę*. Będziemy jednak bliżsi może prawdy, gdy w tej ochocie dopatrzmy się poprostu atawizmu sejmików.

To jeżdżenie po dworach, po sąsiadach, to miłe bez troski wędrowanie, z agitacją polityczną na wety po obiedzie, ta ciągła radość z niczego—to jest właśnie sejmik pana Apolinarego Budzisz, czyli poezja duszy szlagońskiej.

Czy Apolinary Budzisz jest dziś typem przeciętnym warstwy ziemiańskiej? Myślę, że nie. I myślę, że w zgodzie ze mną jest i jego znakomity autor, p. Józef Weysenhoff. Prąd życia współczesnego przerabia wieś polską w tym kierunku, że przedstawicielem jej istotnym staje się coraz bardziej Jan Rokszycki, przyjaciel Budzisz. Apolinary Budzisz jest raczej portretem zamierającej epoki. Zamierającej, ale jeszcze nie zamartej. Co prawda, w całym swoim składzie psychicznym mógłby być jeszcze i sąsiadem „Pana Podstolego” Krasickiego, mógłby deliberować fizyokratycznie nad potrzebą lepszych czworaków dla czeladzi, bo, im większa zdrowotność, tem wydatniejsza praca pańszczyńniana, mógłby jeździć na debaty do nieśmiertelnego Jenialkiewicza Fredry i razem z nim snuć szerokie plany europejskie, doskonaleby się zmieścił w okresie „Wędrówek delegata”, przed laty trzydziestu krzyczałby z kolatorskim zapałem: „Zdrowie ks. kanonika, naszego celebrysa w dzisiejszym odpuscie”—i krzyczałby z takim samym przejęciem, z jakim dzisiaj wygłasza postulat:

„Autonomia z sejmem, wybranym na podstawie równego, powszechnego, tajnego i bezpośredniego głosowania”. Tak jest: Apolinary Budzisz bardziej powszechną byłby figurą lat temu sto pięćdziesiąt, sto i pięćdziesiąt wstecz, ale anachronizmem nie jest i dzisiaj. Nie jest i dzisiaj, bo umysłowość i uczuciowość Budzisz to jednak streszczenie tych form, w które człowieka ulepiają swoiste warunki wsi.

Warunki te zmieniają się szparko i radykalnie. Wieś polska, jak wieś europejska, stawać się musi coraz energiczniej warsztatem *przemysłu* rolnego. Zmienione warunki zrodzą nowe typy ludzkie, a jeżeli nie przerodzą do cna ludzi dotychczasowych, to przywołają ku sobie ludzi innych, bardziej dobranych do przetwarzających się zadań roli i folwarku.

Być może, że na p. Apolinarego Budzisz nie stanie już miejsca za lat dwadzieścia. Nie stanie miejsca na człowieka, który sobie będzie mógł pozwolić na porzucenie wsi, na zostawienie gospodarki na opiece Opatrzności i żony, aby tylko zaspokoić archaiczną żądzę włóczęgi i dobra ojczyzny.

Wówczas dopiero, gdy na obszarach polskich zamrze, albo wyleci z subhastacyi ostatni Budzisz, wówczas figura z książki pana Weysenhoffa stanie się tem drogo-cenniejsza. Wówczas doczeka się może troskliwej analizy, która wykaże, ile w tej postaci, osłoniętej mgiełką dobrotliwej autorskiej ironii, ile spoczywa drobiazgowej, subtelnej prawdy. Wówczas może nauczymy się nawet odruchowo niejednym objaw mijającej przeszłości, niejednym układem stosunków mierzyć i tłumaczyć treścią psychiczną Budzisz.





Portret Stanisława hr. Potockiego przez Dawida.
(Ze zbiorów wilanowskich).

SZYMON ASKENAZY:

Z dziejów Wilanowa.

Wspaniała rezydencja wilanowska króla Jana III, jak wiadomo, nabyta od królewicza Sobieskiego przez Sieniawskich, przeszła następnie wraz z całym ogromnym wianem jedynej ich córki i dziedziczki, Zofii z Sieniawskich 1-o voto Denhofowej, 2-o voto Augustowej Czartoryskiej, do tego książęcego domu. Stąd przeszedł z kolei Wilanów do córki ks. Augusta, Izabeli z Czartoryskich marszałkowej Stanisławowej Lubomirskiej, a od niej wreszcie—w ręce jej córki, Aleksandry z Lubomirskich Stanisławowej Potockiej.

Stanisław Potocki, czynny jeszcze w dobie Sejmu Wielkiego, potem kierowniczy działacz rządowy w dobie Księstwa Warszawskiego, wybitnie również zajął stanowisko za Królestwa Kongresowego, mianowany przez Aleksandra I-go zrazu ministrem prezydującym Komisji wyznań religijnych i oświecenia publicznego, a obok tego niebawem prezesem senatu Królestwa. Jednakowoż po kilku już latach, skutkiem rozlicznych okoliczności głębszej natury politycznej, a między innymi skutkiem wymierzonej przeciw niemu opozycji w kraju samym, to jego stanowisko mocno zostało zachwiane. Jeszcze on był ministrem, ale już pierwszego onego chwiania się swego poczynił odczuwać oznaki, kiedy w październiku 1819 roku Aleksander I zatrzymał się na pobyt dwutygodniowy w Warszawie. Z tej bytności królewskiej postanowił skorzystać Potocki, ażeby, niezawisłe od czekających go wkrótce ciężkich przepraw publicznych, ubezpieczyć się

tymczasem w dziedzinie prywatnej i doraźnie urzeczywistnić myśl, z jaką nosił się oddawna: utworzenia ordynacyi wilanowskiej.

W przeddzień wyjazdu monarchy z Warszawy, 16 października 1819 roku, wystosował Stanisław Potocki następujące, podpisane przez niego, jego małżonkę, panią Aleksandrę, i syna, Aleksandra, Potockich pismo własnoręczne do Aleksandra I.

„Najjaśniejszy Panie! Nizej podpisani, właściciele dóbr i pałacu wilanowskiego, zbudowanego i zamieszkałego przez króla Jana Sobieskiego, uznając tę posiadłość za pomnik narodowy (*monument national*), mieniliśmy obowiązkiem swoim przykładać się do jej upiększenia, ile tylko dozwalały na to środki nasze, i pragnęlibyśmy podobnie następców swoich postawić w możności roztoczenia podobnej pieczy z równą troskliwością. Zważając atoli na niestałość fortun naszych i rozdrobnienie, jakiemu z każdą niemal ulegają generacją, jesteśmy przeświadczeni, iż nie osiągniemy tego celu inaczej, jak upraszając W. C.-K. Mość o pozwolenie na ustanowienie ordynacyi, która umożliwiłaby sukcesorom naszym czuwanie nad zachowaniem tego pomnika przez użycie w tym celu części dochodów ordynackich.

„Wydawało się nam, że fundusz 6 milionów złp. w nieruchomościach ziemskich, po potrąceniu wszelkich ciężarów,... byłby na takie przeznaczenie wystarczający. Ośmielamy się przeto upraszać W. C.-K. Mość o zezwolenie nam na założenie rzeczonyj ordynacyi. Zarówno dawne prawa nasze, jako też obowiązujące kodeksowe, nie sprzeciwiają się instytucjom podobnym, które natomiast mają za sobą względy porządku i ekonomii i które zresztą istnieją już w kraju naszym. Nieliczne dawniejsze i obecne ordynacje odznaczają się gęstszym zaludnieniem; zamieszkali w nich włościanie większym cieszą się dobrobytem, aniżeli w dobrach pozostałych, zdanych na traf ustawicznych odmian, sprzedaży i inowacyi. Zresztą ordynacya tak skromna, uposażona zaledwo jedną szóstą funduszów ordynacyi zamoykiej, nie mogłaby powodować onej niezmiernej nierówności majątkowej, jakiej ma-

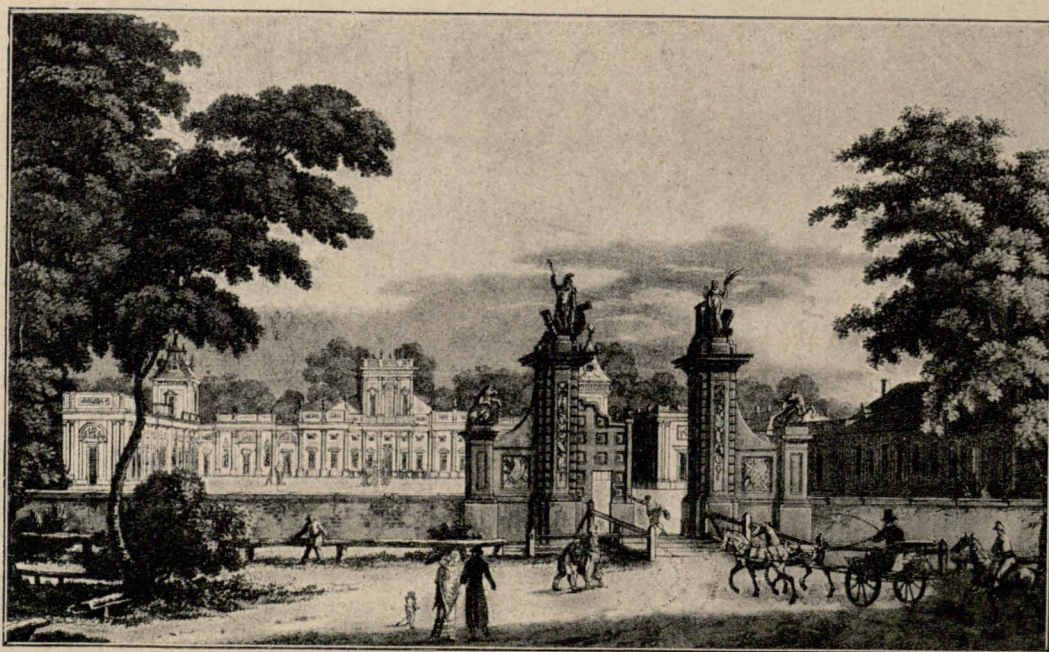


August hr. Potocki.
(Ze zbiorów wilanowskich).

drość rządu sprzyjać nie może. Nareszcie, nizej podpisani, dopraszając się fundacyi ordynackiej, nikomu nie wyrządzają krzywdy: mają oni tylko syna jedynaka, który w tej mierze jest jednej z nimi myśli. Składając prośbę niniejszą u stóp tronu W. C.-K. Mości, poczytywaliśmy za swój obowiązek wyłuszczyć pobudki nasze, w pełnym zaufaniu do wysokiej Jego mądrości i orzeczenia, jakie w tej mierze wydać raczy.”

Prośba powyższa nie doczekała się jednak, jak pragnął Potocki, doraźnego rozstrzygnięcia, lecz dopiero po upływie miesiąca przedstawiona w Petersburgu (15 listopada t. r.) do decyzji monarszej, skierowana została w drodze zwyczajnej do władz warszawskich, przy udzielonej im woli „Najjaśniejszego Pana, (który) mieć chce, aby takowe żądanie rozstrząśnione było w Komisji sprawiedliwości i aby Namiestnik na raport tejże Komisji zdał sprawę Cesarzowi i Królowi, czyli i w jakim sposobie zadość stać się onemuż może, nie ubliżając prawom, trwającym w kraju”. Równało się to faktycznie pogrzebaniu całej sprawy. W istocie, wydana w tej mierze opinia ministra sprawiedliwości, Franciszka Węgleńskiego, opracowana przez sekretarza generalnego

Komisji sprawiedliwości, przeciwnika Potockiego, a kreatury Nowosilcowa, referendarza stanu Hankiewiczza, powołując się na przepisy i dekrety napoleońskie z marca, czerwca, września, października 1808, lutego, maja, czerwca 1809 i marca 1810 roku, oraz na komentatorów Kodeksu Napoleona, Malevilla i Lassault, wypowiedziała się za rezolucją wręcz odmowną w sprawie ordynacyi wilanowskiej. Na tej też zasadzie Namiestnik Zajączek w raporcie osobistym do Aleksandra I (12 lutego 1820 roku) również oświadczył się za



Pałac w Wilanowie, akwatinta Fr. Dietricha (Ze zbiorów W. Gomulickiego).



SŁONECZNIKI

Nastrój dekoracyjny, z wystawy „Odłamu” w Salonie T. Z. S. P.

WŁADYSŁAW WANKE

odmową. Skutkiem tego zapadła decyzja Najwyższa, wyrażona w odezwie Sobolewskiego do Zajęczka (29 lutego t. r.), w duchu odmownym opinii ministeryjalnej i raportu namiestnikowskiego, o czym, po pewnej jeszcze zwłoce, przez pismo Namiestnika (24 marca t. r.) Stanisław Potocki urzędowo wiadomiony został.

Po upływie lat dwudziestu ta sama sprawa raz jeszcze wznowiona została. Syn Stanisława, Aleksander Potocki, wielki koniuszy Dworu, trzymający się zdala od spraw publicznych, a przez swoje zachowanie się w czasie i po upadku rewolucji listopadowej cieszący się uznaniem cesarza Mikołaja I, Namiestnika ks. Paskiewicza, wniósł mianowicie (7 stycznia 1839 r.) na ręce ks. Paskiewicza prośbę na imię Najwyższe względem ustanowienia ordynacji wilanowskiej. Prośba ta, przedstawiona cesarzowi przez ówczesnego zastępcę ministra sekretarza stanu r. t. Turkułła, została w zasadzie przyjęta przychylnie, za najbliższej zaś bytności ks. Paskiewicza w Petersburgu, w kwietniu t. r., była przez niego osobiście referowana i poparta u cesarza, z uwagi, „iż hr. Aleksander Potocki zachowaniem się swoim w zupełności zasługuje na Najmiłościwsze uwzględnienie jego prośby.” Wobec tego istotnie zapadła decyzja zatwierdzająca Mikołaja I (4/16 kwietnia 1839 roku), wypisana *in margine* powyższego referatu namiestnikowskiego własnoręcznie przez ks. Paskiewicza w słowach następujących: „Najjaśniejszy Pan raczył dać pozwolenie na utworzenie ordynacji wielkiemu koniuszemu hr. Aleksandrowi Potockiemu.”

Skutkiem jednak rozmaitych przeszkód natury majątkowej i rodzinnej Aleksander Potocki w ciągu lat kilku nie skorzystał z uzyskanej uchwały cesarskiej. Natomiast wniósł on w 1844 roku nową prośbę na imię Najwyższe, gdzie, powołując się na to, iż Wilanów z przyległościami został przez niego już obecnie, za życia, przekazany synowi, Augustowi, prosił o przelanie na tego syna prawa, uprzednio zyskanego, względem utworzenia ordynacji wilanowskiej. Aliści młody August Potocki nie cieszył się bynajmniej takim, jak ojciec, zaufaniem u Mikołaja I i ks. Paskiewicza. Tak więc prośba powyższa z rozkazu cesarskiego przy odezwie Turkułła (20 marca 1844 r.) posłana została z Petersburga do Warszawy, do uznania Namiestnika i władz miejscowych, podobnie jak onego czasu stało się z pierwszą petycją Stanisława Potockiego. Właściwie pod względem prawnym sprawa była dość prosta: wobec zapadłej uchwały monarszej o fundacji ordynackiej na rzecz ojca, Aleksandra, nie powinno było przedstawiać trudności uznanie syna ordynatem. Jednak trudności okazały się niebawem. Ks. Paskiewicz zwrócił się wprawdzie oficjalnie (15 kwietnia t. r.) po opinię do Komisji Sprawiedliwości, lecz *in margine* nakreślił własnoręcznie ołówkiem: „oświadczyć przytem zdanie Namiestnika, że winienby o to prosić nie ojciec, lecz syn”. Stosownie też do owego „zdania”, będącego rozkazem, przydujący Komisji Sprawiedliwości, Antoni Wycechowski, wydał też opinię (1 maja t. r.), iż zyskane przez Aleksandra Potockiego zezwolenie monarsze na ordynację wilanowską

nie ulega samo przez się przelaniu na syna, lecz że ten syn nanowo całą sprawę w drodze prośby własnej wszczęć powinien. W tym też duchu oczywiście brzmiał raport ks. Paskiewicza do cesarza (10 czerwca t. r.), zatwierdzony przez Mikołaja I w myśl odezwę Turkułła do Namiestnika (3 lipca 1844 r.).

August Potocki widocznie nie uznał dla siebie za możliwe wstąpienie w tej sprawie na drogę petycyjną do Mikołaja I; a przynajmniej brak w tym względzie wszelkiego śladu w aktach. Na tem wzięła koniec sprawa ordynacji wilanowskiej.

WIKTOR POPLAWSKI:

Puste wspomnienia.

Tęsknota pustych izb,
 przepełnionych wonią lawendy,
 gdzie się ukryło wspomnienie
 twych lilijowych rąk...
 Gdzie w krąg
 ze starych sprzętów
 zamierzchłe powstają legendy
 i wkoło mych ust się wija,
 jak twoje ręce lilije...
 A to, co dawno zmarło
 to—niedocieczone,
 budzi się znowu.
 I żyje,
 i żyje, jak twoich rąk umarłych
 niewysłowione legendy.



STALI GOŚCIE W KAWIARNI „JÓZI”

HENRYK PIĄTKOWSKI

WIKTOR GOMULICKI:

1)

Dawne kawiarnie warszawskie.

(ROZDZIAŁ Z „WARSZAWY WCZORAJSZEJ”)

Zapach dobrej kawy ze śmietanką przypomina mi dotąd pierwszą kawiarnię warszawską, w której byłem, mając lat sześć lub siedem. Mieściła się ta kawiarnia przy ulicy Długiej, w pałacu „Pod wiatrami”, w głębi obszernego dziedzińca. Nazywała się „Kawiarnią Baucowej” i posiadała od tyłu rozkoszną werandę, w rodzaju małego, żwirem wysypanego ogródka, z widokiem na ogród Krasieńskich. Znajdowało się w tym ogródku kilka starych, pleśnią i rdzawymi mchami oblatzłych posągów, od których szło na całą kawiarnię tchnienie poważne i poetyczne. Wyobraziłem sobie wówczas, że kawiarnia warszawska jest zaczarowanym pałacem, do którego wpada się, jak burza, trzaskając drzwiami, w przekrzywionym na ucho kapeluszu, z laską między dwoma palcami, mówiąc rzeczy wesołe osobom, siedzącym za bufetem, które w odpowiedzi śmiechem głośnym wybuchają. W tym pałacu anioły, poprzebierane za kobiety, roznoszą w szklankach i filiżankach boski, aromatyczny napój, oraz zatlone „fidibusy”.

Ach, fidibusy! Jakże mię zachwycaly te długie, wązkie zwitki zadrukowanego papieru! Pęki ich tkwiły w szklanych naczyniach na bufecie; co chwila główna archanielica zapalała je przy płomieniu gazowym i podawała aniołom drugiego rzędu, a te roznosiły je po pokojach i ogródku, niby ogień Prometejowy, z Olimpu wykradziony...

Było to bezpośrednio przed dobą powstaniową.

W tej ostatniej dobie pojęcia moje o kawiarni warszawskiej do gruntu się zmieniły.

Matka, jadąc do Warszawy, znów zabrała mię ze sobą, i mieszkałem chwilowo u znajomych na rogu Podwala i Placu Zamkowego. W tej wysokiej kamienicy, której pierwsze piętro zajmował głośny doktor Tripplin, mieściła się na dole równie głośna, jak ów podróżnik i fantasta, kawiarnia „Zuzi”. Nie byłem w niej nigdy, gdyż nie było to miejsce właściwe dla kobiet i dzieci.

Jednego dnia, schodząc z matką ze schodów i mijając drzwi kawiarni, dostrzegłem tuż przy nich, na podłodze, wielką krwawą plamę...

— Co to takiego? — pytam przerażony.

— Tsss...—szepnęła matka. — Dziś rano zasztyletowali tu szpiega...

W czasie późniejszym, gdy ciekawość i młodzieńczy głód wrażeń ciągnęły mię do wszelkich zakamarków stołecznych, od tego jednego miejsca odpychało mię zawsze niezwalczone uczucie trwogi i wstrętu.

W najbliższym sąsiedztwie „Zuzi”, nieco bliżej placu Zygmunta, miała podobną kawiarnię „Józia”. Opis tej kawiarni biorę z innej swej pracy.

Do kawiarni Józji wchodziło się przez długą, wązką, ciemną sień, gdzie dniem i nocą, niby ogień na moczarach, płonęła mdła nieduża latarka ze szklami zakurzonemi. Pokoje były również wązkie, kiszkowate; biegiły równoległe do sieni, jeden za drugim. Pokój środkowy oświecało (!) jedno okno, wychodzące do zupełnie ciemnego przejścia. Stał tu bufet, a pod ścianą, na nieskończenie długiej, czarnym włosieniem krytej kanapie, siadywał rząd postaci, jakby wymalowanych przez Horacego Verneta, Suchodolskiego, lub Juliusza Kossaka. Byli to inwalidzi byłych wojsk pol-

skich, przeważnie kalecy, na szczudłach, z palstrami czarnymi na oku, z pustymi rękawami u surdutów, za to z czerwoną wstążeczką przy wyłogach. Tu również za bufetem można było oglądać firmową „Józję”. Ktoby sobie pod tem imieniem wyobrażał małą, zwinną, figlarną istotkę, doznałby zawodu. Józja była niewiastą opasłą, zawsze złą, wymyślającą od „siarczystych” dziewce i parobkowi. Po prawej stronie bufetu był pokój z oknem, wychodzącym na ciemne podwórko. W piwnicznym mroku było tam słycać nieustannie stuk mieszanych w kubku i wyrzucanych na stół kostek. Był to klub „dominikanów” (grających w *domino*) i „kościarzy” (grających w *kości*).

U Józji weterani wojska polskiego palili fajki na długich cybuchach. Z fajkami spotykałem się w dwóch jeszcze kawiarniach: „Pod dzwonnica”, na Przedmieściu Krakowskim, obok Bernardynów, oraz w bezimiennej kawiarence przy ulicy Elektoralfnej. W obu tych miejscach przechowywały się niemal do ostatnich czasów sprzęty, najnowszemu pokoleniu nieznane, mianowicie: fajczarnie. Do cybucha każdy z palących zakładał własne piórko.

Kawiarnia „Pod dzwonnica”, niedawno zamknięta, była podobno ostatnią dawnego typu. Panowały tam demokratyczne zwyczaje i także ceny: panowała też demokratyczna równość i swoboda. Dzięki temu, o każdej porze dnia, a zwłaszcza zimą, w godzinach poobiednich i wieczornych, nie było w tej kawiarni jednego stołka wolnego. Goście spóźnieni stawali pod piecem lub na środku, albo zapychali pokój bilardowy, czekając cierpliwie na kawałek próżnego miejsca.

Więc też, obok emerytów, drobnych kapitalistów, próżniaków i poszukujących mętnej wody rybołówów, ciągnęła pod Dzwonnica surdutowa i kapeluszuwa bieda, pewna, że się tu za kilkanaście groszy pożywi, cały wieczór w ciepłe przesiedzi, a w potrzebie i wyśpi się nawet. Zawsze tu po kątach dostrzedz było można ludzi drzemających, w chmurze dymu zatopionych. Przesycone nikotyną i kofeiną powietrze, jednostajny szmer rozmów, głucho, oddalone burczenie bil, toczących się po zielonem suknie — wybornie do snu kołysały.

Obyczaje „Pod dzwonnica” były sielskie i patryarchalne. Usługiwały tam, w sposób bardziej przyjacielski, niż obowiązkowy, panienki doletnie, choć nie przekwitłe. Stali goście byli przez nie nazywani „wujaszkami”, z dodaniem imienia własnego; do panienek mówiono najczęściej: „ciociu”, również z dodatkiem imienia.

Flirt miał tu formy swoiste, niepowszednie. Gruchano naprzykład głosem przyciszonym w taki sposób:

— Ciociu Kaziu!

— Ehe?

— Wygląda dziś ciocia bosko...

— Aha!

— Więc...

— Więc „pół z pół”, dwa serdeliony i sznyt pytlowca z serem—wszystko „na borg”? — To się wie!

Siedząca za bufetem „gospodyni” posiadała tę właściwość, że niepodobna było wyobrazić jej sobie: milczącą i nie smarującą chleba masłem. Od świtu do nocy, jej język i uzbrojona nożem ręka bezustannie pracowały.

Jeżeli prawdą jest, że kredyt tworzy najsilniejszą dźwignię handlu, to zakład „Pod dzwonnica” musiał wspaniale przynosić zyski. Nigdzie tak obficie, jak tam, nie szafowano kredytem. Niejeden młody artysta, rzemieślnik



DO KAWIARNI, HENRYK PIĄTKOWSKI
BEZ WZGLĘDU NA POGODĘ

nik, kupczyk lub urzędniczek, dzięki jedynie temu kredytowi, mogli przetrzymać ciężkie lata nowicyatu. Niejednego też biedaka ten kredyt od śmierci głodowej ocalił.

Ile razy chciałem doświadczyć smaku naszej cyganeryi artystycznej, szedłem „Pod dzwonnice”. Zawszem był pewien, że tam, z oceanu dymów tytoniowych wyłowię koźlobrodego twórcę czterech, zawsze razem podawanych „Pór roku”, oraz drastycznych scen „Przed” i „Po”, również tylko w połączeniu do nabycia będących. Zapoznany geniusz miał tu stałe miano „wujaszka Edmunda”, lub krócej „Mundzia”; miał także w którymś kącie wbity hak, zarezerwowany wyłącznie dla swej garderoby. Wisiało na tym haku jego odzienie zimowe i letnie, które odmieniał w miarę potrzeby.

Kawiarni odrębnie literackich, odpowiadających tym, o których pisał Wójcicki w swej „Kawie literackiej”, w ostatnim okresie Warszawa nie miała. Ludzie od pióra kupili się w kilku cukierniach i jadalniach publicznych, nie gardzili też piwiarniami; kawa mała ich nęciła.

A tu wspomnieć muszę, że oglądałem jeszcze własnymi oczyma opisaną przez Wójcickiego kawiarenkę, którą brać pisarska przeważała „Dziurką”, a której nie trzeba łączyć z inną tej nazwy „instytucją”, mieszczącą się przy cukierni w gmachu teatralnym. „Dziurka”, o której mówię, znajdowała się przy ulicy Miodowej w domu Grabowskich, a kto ją widział, ocenić musiał trafność danego jej miana. Wierną jej podobiznę dał Kostrzewski w „Szkicach i Obrazkach”.

„Dziurka” zajmowała zaledwie dwa pokoje, i dziwić się trzeba: jak tam zmieścić się mogło tyle osób, w opowiadaniu Wójcickiego występujących? Środek pierwszej salki, niskiej, wąskiej i ciemnej, zajmował bilard, sprzęt przedpokojowej konstrukcyi, z łozami w kształcie worków skórzanych, do których bile z łoskotem wielkim wpadały. Nizki sufit był nad

bilardem podziurawiony, jak rzeszoto, gracze bowiem, zamiast nacięrać końce kijów kredą, woleli wkręcać je w pobielaną powałę. Bufet, do ołtarza podobny, stał w bardzo głębokiej, zgoła ciemnej wnęce, niegdyś zapewne będącej alkową.

Charakter prawie dobroczynny miała kawiarenka w Rynku Staromiejskim, miała go zaś z dwóch powodów, gdyż była ze wszystkich najtańsza i ze wszystkich najwcześniej otwierana. Ścisłej mówiąc, zawsze ona stała otworem, odmykano ją bowiem o wschodzie słońca, a zamykano o pierwszym brzasku rannym.

Kiedyś, gdym roił o napisaniu „Nocy Warszawskich”, które miały być cyklem obrazów, odtwarzających tajemniczą, w mroku zanurzona, sowią i krecią Warszawę, tum znajdował nieprzeplacone do niej materyały... Pod niskim, rozwarto-łukowym sklepieniem, przy żółtem, migotliwym świetle lampek naftowych, rozkwitała w owej kawiarence cała nocna flora stolicy. Nie oglądała ona nigdy słońca; i jej też nigdy słońce nie widziało.

Te nocne, napół fantastyczne zjawy podobne były do owych, które

..bojaźń nasza

Widzi w bezsennych nocach—poranek rozprasza.

(DN)

ZOFIA CASANOVA.

SYLWETKA LITERACKA.

„Lonxe da terrinha, lonxe da men lar.”
Zdała od mej ojczyzny, zdała od
rodzinnego domu.

Z pieśni ludowej hiszpańskiej.

„Zdała od swej ojczyzny, zdała od rodzinnego domu”—mieszka od lat kilkunastu w Polsce ceniona poetka hiszpańska, Zofia Casanova. Los oderwał ją od ziemi rodzinnej, która pławi się w słońcu i mieni barwami jaskrawemi, wszechpijącą radość w serca ludzkie; oderwał od osób blizkich, rzeczy drogich i pamiątek świętych, bez których czuje się pokrzywdzoną każda dusza wrażliwa i kochająca, nawet wówczas, gdy w życiu wszystko jej sprzyja.

Los zawsze jest czemś, przeciwko czemu buntuje się niezależna cząstka istoty naszej. Jakże więc gwałtownym i niszczącym może być ów bunt



Zofia Casanova (Wincentowa Lutostawska).

wówczas, gdy dusza ludzka rozważa na obcym sobie brzegu to, co jest dla niej jego fatalnością.

W duszach namiętnych i złych budzi się uczucie wrogie dla obcego środowiska; słabe i rozżalone żyją obojętnością, bądź reagują na nie wzgardliwie; tylko dobre i szlachetne przenikają się szczerze treścią jego życia, oddają mu bezinteresownie swe ciepło i światło, w imię ojczyzny dalekiej, której ofiarowują swoją tęsknotę.

Tak właśnie żyje wśród nas Zofia Casanova. Współczuje niedolom Polski smutnej i znęka-

nej, stanowiącej przeciwieństwo jej własnej ojczyzny, życiem Polski przejmując się codziennie, tak jak my, i jak my, rozstrzyga wciąż zagadnienie jej przyszłości. Stosunek taki nie jest wynikiem przystosowania się do otoczenia, w którym komuś wypadło żyć z wyroków konieczności. Nie jest bowiem przystosowana dusza, która głębokie życie swoje wyraża w ten sposób: „Codziennie współżyję z mymi umarłymi, z przyjaciółmi nieobecnyimi, z mymi poetami i świętymi i prawdę mówię, gdy twierdzą, że znoszę oddalenie od ojczyzny, bo w niej pozostałam, bo intensywnie i niezmiennie kocham wszystko, co kochałam, bo płomienia mego uczucia nie zgasi ani czas, ani lodowaty powiew nieobecności” (p. powieść Z. Casanovy „Więcej niż miłość”, str. 64). W każdym razie uczucia Z. Casanovy względem nas płyną ze źródła głębszego, niż przeciętne przystosowanie się do danego otoczenia, nacechowane są bowiem czystą, bezinteresowną miłością, wypowiadają się słowami uwielbienia i entuzjazmu.

Kilka lat temu spotkałem się z p. Zofią w Rzymie i nigdy nie zapomnę tego, jak się wobec mnie oburzała na tych Polaków, którzy lekkomyślnym zachowywaniem się na obczyźnie składają złe świadectwo o całym narodzie polskim. (Chodziło tu o paru rozwichrzonych chłystków, bawiących podówczas w Rzymie).

— Takbym pragnęła—mówiła do mnie z właściwym sobie zapałem—pokazać obcym wszystko, co jest w was i u was najlepszego. Europa sądzi was głównie podług tych ujemnych przedstawicieli waszego narodu, o jakich właśnie mówimy, poznaje niezaszczytne strony waszego charakteru narodowego.

Szlachetna dusza poetki hiszpańskiej widziała w tem oczywistą krzywdę Polski i Polaków, odczuwała potrzebę przeciwdziałania temu, pragnęła budzić wśród obcych cześć i podziw dla tego, co jest pięknem i chlubą naszego życia.

Spółczeństwu swemu stara się przedstawiać charakter narodu polskiego w jego postaci najczystszej i najwznioślejszej, a jeśli dotknie wad, to zawsze z miłością i współczuciem dla tych, którym nieszczęście zbiorowe utrudnia osiągnięcie wyższych kształtów bytu moralnego. W ostatniej powieści swojej np., p. t. „Więcej niż miłość” (przekład polski, Gebethner i Wolff, Warszawa, 1908 r.), wciąż zajmuje się psychologią charakteru naszego w jego zbiorowych i indywidualnych objawach, stara się go wyrozumieć, przeniknąć weń, przez porównanie z lepiej sobie znanym charakterem narodu własnego. To zestawienie dwóch dusz, dwóch istot narodowych wytwarza w sercu autorki jedną miłość dla nich, jedno współczucie dla ich teraźniejszości i jednakową troskę o ich przyszłość. W ten sposób, być może, rozdwojone przez los istnienie poetki znajduje swoją jedność w tem uczuciu miłości, oddanem zarówno własnej ojczyźnie, jak i ojczyźnie jej dzieci...

W pismach swoich mówi Zofia Casanova rodom o tem, czem jesteśmy obecnie, jaka jest nasza dusza, jaka wola, jakie aspiracje; mówi im o tem, jak się to wszystko objawia w naszym życiu powszednim i jaki znajduje wyraz w twórczości artystycznej. O współczesnych twórcach naszych, o Wyspiańskim, Żeromskim, Reymonczie i t. p. dowiedzieli się Hiszpanie po raz pierwszy od Zofii Casanovy. Dowiadują się, słowem, od niej o tem, co jest fatalnością naszego istnienia narodowego, i o tem, co jest żywotnością duszy naszej i jej współdziałaniem w sprawach kultury powszechnej. Zbliżając nas do swego narodu, pragnie tak samo zbliżyć go do nas, mówi więc nam o jego wysiłkach duchowych, o jego rzeczywistości i poezyi, o życiu realnem i ideale, wcielonym w nieśmiertelne kształty sztuki.

To wszystko robi poetka dla dobra uprzywielejonanej sprawy zbratania dwóch społeczeństw, które ukochała, by mogły odczuć się wzajemnie, patrzeć na siebie z sympatją i szacunkiem.

A cóż dla siebie, dla swego życia poufnego, spragnionego poza tem innych jeszcze harmonii, innych wcieleń piękna? Dla ścisłych potrzeb ducha swego, niepokojonego tajemnicą praw i wa-

runków przenikania się wewnętrznego serc ludzkich, rozstrzyga wciąż poetka w pismach swoich wielkie zagadnienie miłości, urzeczywistnia wciąż w marzeniach swoich najbardziej melodyjną ze wszystkich harmonii. Na tej drodze jej wysiłków piętrzą się przed nią te wszystkie przeszkody, które utrudniają harmonię uczuć ludzkich, stają te zmyły, które zasnuwają myśl o życiu wyjątkowym serca mgłą niepewności i zwątpienia. W tej mierze, jak mi się zdaje, myśl poetki snuje z tej samej przędzy, z której genialny badacz związków dusz ludzkich, Balzac, snuł swoje utwory. W poglądach Zofii Casanovy na stosunek mężczyzny do kobiety dźwięczy jakby nuta balzakowskiego wyroku: „Kobieta jest czarodziejskim instrumentem rozkoszy, ale wprzód trzeba poznać delikatne struny tego instrumentu, zrozumieć strój, skalę i palcowanie, tak zmienne i kapryśne. Iluż mężczyzn żeni się, nie mając najmniejszego pojęcia o tem, co to jest kobieta. Iluż postąpiło z nią tak, jak owa małpa ze skrzypcami! Strzaskali serce, którego nie byli w stanie zrozumieć, zniszczyli i podeptali ze wzgardą klejnot, którego tajemnicy nie umieli odgadnąć. Przechodzą przez życie, jako wieczne dzieci, odchodzą z niego z próżnymi rękami, po latach wegetacji, nagadawszy się do syta o szczęściu i miłości, o rozpuszczeniu i cnotce, tak jak niewolnicy gwarzą o wolności.”

Poczucie podobnie wegetacyjnego przechodzenia przez życie z gwarem niewolniczym o miłości na ustach tkwi w tem, co mówi poetka o stosunku dwóch płci. Przeciwno wegetacji uczuciowej serc ludzkich powstaje gorąco duch poetki, jak powstaje przeciwko temu wszystkiemu, co jest trwonieniem skarbów i świętości, zamkniętych w wolnej istocie ludzkiej.

Tak więc żyje wśród nas—„zdala od swej ojczyzny, zdala od rodzinnego domu” poetka hiszpańska, Zofia Casanova.

WL. JĄBLONOWSKI.

Z PODOLSKICH STRON.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

I.

Ludzkość, kreśląc swe dzieje na kartach przyrody, Oprawiła je w księgi: wsie, miasta i grody. Każdy wiek, gdy zamierał, każdy, gdy się rodził, Tu stare pieśni składał, tu nowe wywodził, Wiążąc w olbrzymie zgłoski z drzewa i kamienia Swe czyny, swe zamiary, chęci i wierzenia...

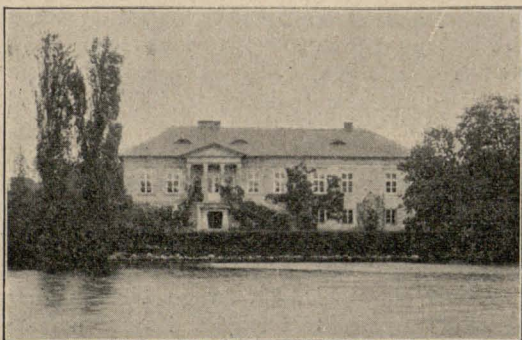
Taką kartą, na której wielka przeszłość wyryła swe niezatarte ślady, jest Podole.

Dziwnie pancerna ziemia, błyszcząca po dziś, mimo wieków przedział, srebrną łuską Dniestru, jak kolczuga z damasceńskiej stali.

Dziwnie pancerna! Kamieniec, Raszków, Jampol. Bar... zameczki podolskie... Zalatuje cię tu już wiatr od stepu i, zda się, bohdanową dumką w burzanach podzwania, i o stary tatarski szlak zawadzasz okiem, i na turecki piszczel pług często gęsto w czarnoziemiu natrafi, i o kurhan nie-trudno.

Niemasz bogdaj jednej wsi, gdzieby nie zapisano czegoś, co sercu dumą lub tęsknotą...

I nie dziw! Chadzali tędy Koniecpolscy,



Dwór w Kaczkówce.

Potoccy, Wiśniowieccy, Lanckorońscy, Żółkiewscy, ciężkie i lekkie znaki, więc i ostało z tego moc w pieśni i na jawie.

Bo niejedna pieśń nasza zrodziła się na kartach tej ziemi. Słowacki, Zaleski, Pol, Sowiński, aż do tej, „na pokrzepienie serc” naszym czasem wyśpiewanej, co nam Skrzetuskich, Podbipiętów, Wołodyjowskich na kamienieckiej opoce przypomniła! a wszystkie dziwnie rycerskie, mocarne, jak ta ziemia podolska!

Non omnis moriar! I po dziś jeszcze, czy to puszczasz się ku bessarabskim Sorokom, czy do słynnego Chreptiowa, czy pod Raszków, czy Jampol, czytasz z tej ziemi, jak z sienkiewiczowskich kart, opowieści i marzysz na jawie i jakbyś omal widział te drogi, które tamci przed wiekami chadzali.

W starym jampolskim ratuszu przypomina ci się, że tu może imć pan Onufry niejednym kuszy-czek trojniaku wychylił, w Raszkowie staje ci



Szlachta z Kaczkówki.

przed oczyma zdrada Azyi, bohaterska Baśka i rozpacz Nowowiejskiego i mazurska zaciętość Luśni, i żal, że tobie jeno pióro zostało...

A potem masz jeszcze Kamieniec, Bar! i... wy-patrujesz oczy, a całą duszą chciałbyś mieć na żrenicy.

Zaczniemy od Jampola...

Dniestrowe brzegi. Srebrna fala o wyrwane porohip bije, pryska, skrzy się... Rzeka wyrwa się już z uścisku wysokich urwisk ku rozdolu i, zda



Chata w Kaczkówce.

się, szybciej płynie. Ale naokół jeszcze wzgórza, stoki, zręby, świecące słojami opoki z pod czarnoziemnej warstwy. Na wzgórzach tu i owdzie winograd, zieloną płachtą rozpięty.

Mocarna ziemia! A niżej, jak rzuć okiem, na łąkach złocistych wioski-mołodycie: stare dziedzictwa Jaroczyńskich, Giżyckich, Rakowskich, Sobańskich, Tyszkiewiczów.

Złote pola!

Bo „cóż w świecie nad miód polski Nad kord stary, snop *podolski!*”

Bogata, bujna gleba, więc i wszystko na niej bujne, wyrosłe, tak jakoś silnie usadowione, że wieki tego nie ruszą.

O! Kaczkówka, włość p. Floryana Rakowskiego. Starą kulturę tu znać—i coś się przypo-



Włościanki z Podola.

mina. Przed wybieloną chatą lud dorodny, dziewczuchy, jak łanie, czarnookie, w dierzganych białych świtkach, a chata z kalonką i na jeża szyta. Widywałeś podobne i nad Gopłem, i na prozowskich wzgórkach, tyle że tu kamienia nie brak, więc cały podjazd gruzem wyłożony, murowany, jak w jakim zameczku. I bodiakami pałą. Ale za to chleba w bród. Stodoły pełne i stogi na zapłociu stoją. Nad progiem chaty: mały obrazik Przenajświętszej...

A że słońce ma się właśnie ku zachodowi, więc i na Anioł Pański z parafialnej Dzinigródki dzwonią.

KAZIMIERZ ŁASKOWSKI.

E pur si muove...

Ktokolwiek był na wystawie częstochowskiej, niezależnie od zastrzeżeń, jakie mógł mieć przeciw temu lub innemu jej działowi, musiał wynieść jedno wrażenie zasadnicze: wrażenie pokrzepiające, przekonał się bowiem naocznie, że kraj idzie naprzód, że niewątpliwie są jego zdobycze w zakresie rolnictwa i przemysłu, a jutro ekonomiczne narodu nie jest bynajmniej tak rozpaczliwe, jak to sobie niejedni wyobrażali.

Przeciwnie, można było słyszeć największych pesymistów, którzy, opuszczając wystawę, mówili: a jednak żyjemy, ruszamy się.

I to, że wystawa częstochowska takie właśnie budziła refleksje, stanowi największą jej zasługę, przynosi chlubę jej inicjatorom i organizatorom, którzy nie lękali się stanąć do pracy w chwili powszechnego rozstroju myśli zbiorowej i upadku ducha.

Brak wiary we własne siły był zawsze naszą klęską, do potwornych jednak rozmiarów doszedł on dopiero w latach ostatnich, kiedy na ruinach obalonych nadziei rozrósł się bujnie chwast apaty i zubożnienia. I oto w chwili, gdy ten chwast zaczął już tłumić kiełkowanie zdrowych i obiecujących plon ziaren, u stóp wieży jasno-górskiej zapłonęło światło nadziei.

Idziemy naprzód, idziemy pod hasłem pracy, która, podnosząc dobrobyt kraju, daje mu jednocześnie możliwość większej dbałości o postęp kulturalny.

W warunkach, w których może żaden inny naród nie potrafiłby pracować, wśród przeszkód, których w niejednym wypadku nie mógłby sobie

nawet wyobrazić obywatel któregoś z państw zachodnio-europejskich, przy braku dostatecznej ilości kolei żelaznych, dróg bitych, nawet stacji pocztowych i telegraficznych, rozwija się nasz przemysł, postępuje nasze rolnictwo. To znaczy, że posiadamy dość sił żywotnych i dość energii, mimo że sami podajemy to niejednokrotnie w wątpliwość, dobrowolnie obniżając swoją wartość i ustępując innym pierwszeństwa.

A przecież nic nie nadaje człowiekowi takiego rozpędu, nic nie jest mu takim bodźcem w pracy, jak wiara w to, że tę pracę może wykonać dobrze, że stać go na współzawodnictwo z innymi, że ze współzawodnictwa takiego nie wyjdzie pobitym.

Wiary tej potrzebuje cały naród, potrzebuje cała rozległa dziedzina jego pracy, skierowanej ku osiągnięciu lepszego jutra. Nadewszystko jednak potrzebuje jej nasz przemysł krajowy, ten przemysł, który ma nas stopniowo wyzwolić z upokarzającej niewoli ekonomicznej u obcych, który przez swój rozwój może uregulować nasze stosunki ludnościowe, zatrzymać w kraju emigrację zarobkową, uchronić lud polski od poniewierki na obczyźnie, od występowania w Europie i w Ameryce w charakterze „bydła roboczego”, traktowanego wyłącznie pod kątem wartości jego siły mięśniowej.

I dlatego ku podniesieniu przemysłu skierować musimy wszystkie swoje wysiłki, wszystkie aspiracje w dobie najbliższej. Niewiele wszakże uczynimy, jeżeli nie zdobędziemy się jednocześnie na wypływającą z głębokiego przekonania wiarę we własne siły, w zdolność narodu do budowania swej przyszłości, wbrew wszelkim przeszkodom, ograniczeniom i trudnościom.

Płomyk tej wiary rozżarzyła w nas dobiegająca już kresu wystawa. Nie pozwólmy teraz, aby zagasł, ale rozdmuchajmy go w ogień, który potrafiłby ogarnąć cały naród i przekonać wszystkich, że jednak ruszamy się, żyjemy, idziemy naprzód.

Z. D.

WĘGRZY I SŁOWACY.

W marcu r. z. pisałem w *Tygodniku Ilustrowanym* nekrolog zgasłego w tym czasie wielkiej miary działacza. Był to ks. Andrzej Kmet'. Już w seminarium gromadził wkoło siebie kolegów Słowaków i pod hasłem: „Brońmy się, uczmy się,” utworzył kółko samokształcenia. Jeden z twórców „Macierzy”, zamkniętej następnie bez śledztwa i sądu przez rząd węgierski, założyciel jedyne go gimnazjum słowackiego, uczony literat, znawca zwyczajów ludowych, zbieracz pamiątek archeologicznych dla muzeum narodowego, gromadził koło siebie patriotów słowackich z wielce zasłużonym dr. Petrikowiczem na czele, z nimi założył w r. 1890 „Dom narodzi”, a w pięć lat potem „Muzealną Slovenską Spoločnosť”, muzeum, w którym pomieścił swoje zbiory, oraz swoich przyjaciół, nakoniec rozpoczął i ukończył budowę osobnego, okazałego, dwupiętrowego gmachu, który miał pomieścić „spoločnosť”.

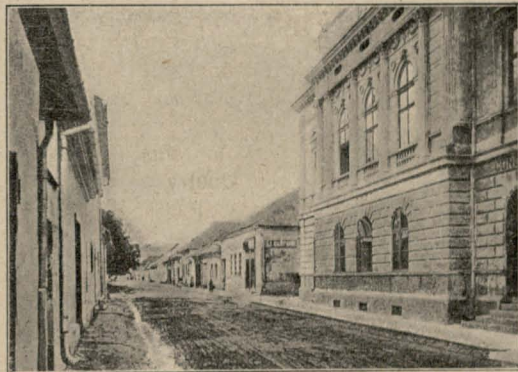
* * *

Często patrzę na tę mądrą i dobrą twarz, wyzierającą kn mnie z ram ofiarowanej mi wów-



Ulica w mieście.

czas z miłą dedykacją fotografii. Skromny „farar”, potem emeryt, nie zaznał nigdy łask i odznaczeń madyaryzującej, rządowi oddanej zwierzchności kościelnej. Oddawszy swoje bogate zbiory, owoc pracy całego życia, „Muzealnej Spoločnosti”, sam zamieszkał w św. Marcynie Turczańskim, w dwóch biednych pokojach, w małym parterowym domku, obok swego ukochanego „Narodnego Domu”. Tam nas wprowadził i zaczął swoją opowieść, pozwoleńszy notować. W miarę jak mówił, sta-



Turczański św. Marcin. Narodni dom.

ra jego twarz zaczęła się pokrywać jakąś ziemistą bladocią, usta wykrzywiły się boleścią, a oczy, te rozumne oczy, dobroduszenie patrzące z pod okularów, zaczęły ciskać jakieś zimne, stalowe błyski. W drżącym głosie odczuwałem tajone ły: to skarzyła się krzywda ziemi słowackiej, uciskanej brutalną stopą madyarską.

* * *

„Administracja to pierwszy zastęp madyaryzujący. W sądzie nie wygrywamy, bo dla nas niema sprawiedliwości, a próżniacy i liczny personel urzędniczy po macoszemu załatwia nasze interesy, i to rzadko bez przekupstwa, ale skarżyć się nam nie wolno. Nieład i nieporządek w całym kraju, zaniedbanie najżywniejszych interesów krajowych jest skutkiem złej i niesumiennej gospodarki. Drogi i mosty w haniebnym stanie, księgi hipoteczne pofalszowane pod pozorem wprowadzenia prawa gruntowego madyarskiego, stąd zamęt najokropniejszy,



Gmach Maticey, dziś poczta.

nazwy miejscowości pozamieniane na węgierskie (z wyjątkiem map wojskowych!) Wszelkie utrudnienia w zakresie różnych koncesji i pozwoleń, choćby na otwarcie sklepu, wypędzają corocznie z zamożnego kraju tysiące Słowaków za zarobkiem w obce strony. Węgier, Czech, Żyd madyaryzowany przynoszą za to pełne kieszenie koncesji. Kiedy w pewnym mieście odbywały się przenosiny sądu, to samych papierów spraw nie załatwionych zebrało się dwa wagony. Wybory są jednym wielkim, krzyżącym nadużyciem administracji. Potworne pogwałcenie najprostszej sprawiedliwości konstytucyjnej, bezprawie, przymus, pogroźki, fałszowanie przy obliczaniu głosów, przepędzanie wyborców, przelew krwi nierzadko, a skutek to wybór Madyara, lub Madyarona (madyaryzowany Słowak lub Czech).

„Po zamknięciu w 1875 r. bez śledztwa i badania „Macierzy”, skonfiskowaniu 100 tysięcy jej majątku do kasy państwowej, zamienieniu gmachu

na sąd i pocztę, stało się szkolnictwo pierwiastkiem najsilniej madyaryzującym. Ochronki to pierwszy etap dziecka słowackiego. Już tu nie wolno mu mówić inaczej, jak po węgiersku, wszystkie napisy są węgierskie, a zakaz mowy słowackiej, strzeżony pilnie przez ochroniarki, sięga domu rodzicielskiego. W szkole elementarnej i średniej nawet nauka religii odbywa się po węgiersku, a nieuk katecheta dzięki madyaryzowaniu pozyskuje łaski władz szkolnych.

„W Tyrnawie uczeń arcybiskupiego gimnazjum katolickiego został wydany za list słowacki. W tymże czasie kolega jego, schwytyany na gorącym uczynku kradzieży, został w szkole zatrzymany.

„Prasa, nękana karami, redaktorowie, za bagatelę odsiadujący ciężkie, długie więzienia, oto konstytucja węgierska.

„Stosunki kościelne wprost okropne. Bogaci, świetnie uposażeni i faworyzowani, pomimo rządów wyraźnie antyklerykalnych w dziedzinie kulturalno religijnej, biskupi węgierscy są przeważnie stronnikami rządu w tem, co się tyczy kościoła słowackiego.

„Klerykowi w seminarium nie wolno pisać listu po słowacku, ani z domu odebrać, pod groźbą wypędzenia. Wszelkie kółka samokształcenia kleryków-Słowaków są prześladowane i rozpędzane. Ksiądz Słowak-narodowiec nie może mieć żadnej nadziei łask biskupich i odznaczeń kościelnych. Nie ufają mu, nie wierzą i za obcego uważają. Nie poślą go do parafii słowackiej; tam idzie ksiądz Madyaron, a jeśli lud, oburzony nabożeństwem madyarskim i kazaniem, którego nie rozumie, buntuje się, biskup potrafi zagrozić wojskiem. Tedy parafia pisze prośby zbiorowe, a parafianie zacinają się w palce, żeby krwią podpisywać suplikę. Nic to nie pomaga. „To Słowak” —powiedział raz pewien ksiądz Madyar, gdy go wołano do robotnika, który uległ wypadkowi, i nie poszedł z pociechą religijną. Sporadyczny to wprawdzie wypadek, ale jakże wiele mówiący!

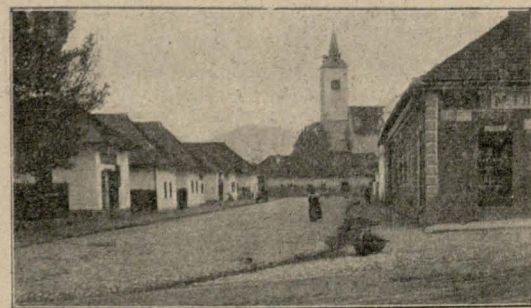
„Niech w parafii słowackiej trzech urzędników Madyarów napisze prośbę do biskupa, natychmiast dostają świętego węgierskiego na ołtarz, a księdza Madyarona z kazaniem węgierskim na ambonę. I wtedy już żadne skargi nie pomagają.

„Jeszcze gorzej jest u protestantów, a superintendenti ewangelicy i reformowani to służki rządowe. Tutaj madyaryzacja ludu przez pastorów-Madyaronów i prześladowanie duchownych-Słowaków sięga niebywałych rozmiarów. Gdy w Kowarze Słowackiej w parafii ewangelickiej ośmiu urzędników Madyarów posłało prośbę do konsystorza ze skargą, że ich gorliwość religijna nie znajduje zaspokojenia, pastor otrzymał rozkaz zmiany nabożeństwa na węgierskie. Staby Słowak usłuchał. Gdy lud z placem uciekał z kościoła, przysłała na pomoc władza administracyjno-policyjna, stąd gwałt. Pojechała do Pesztu deputacja do superintendenta, który jej nawymyślał od „świń i osłów” (autentyczne) i wygnął precz.

„To też religijny z gruntu lud słowacki zniechęca się do kościoła, stygnie w wierze, zaniedbuje praktyk religijnych i demoralizuje się, oczywiście, w szynkach, które mu obficie otwiera administracja węgierska.”

To mówił ks. Andrzej Kmet'.

Ks. SZKOPOWSKI.



Kościół katolicki.

PO PIĘCIU WIEKACH...

Po pięciu wiekach wskrzesza i staje przed nami wizja króla-bohatera, walecznego młodzieńca, który streszczał w sobie męstwo, zapał i odwagę.

Nie wiadomo, czy szczątki z grobu pod Warną są istotnie szczątkami poległego tam Władysława. Imniejsza ostatecznie o to. Główna, że piękna postać Jagiellończyka przypomina się narodowi z powodu tajemniczej mogiły, domaga się czci i wspomnienia, słusznie zasłudze i cnotom męskim należnych.

I przed oczyma naszymi na polach warneńskich rozciąga się obraz owego boju bohaterskiego z przed laty tylu. Oto na czele garstki rycerzy, z rozwianym włosiem, pędzi król naczelnik dwóch potężnych państw, rzuca się w ciżbę pohańską z okrzykiem:

— Nie bójcie się! Za mną! za mną!

A oni nie o siebie obawę mieli w ser-

czucia rycerskiego obowiązku. Słuchali go zawsze Polacy, nawet wtedy, kiedy w imię dobra ojczyzny szli wojować pod obce znaki, śpiewając: „Za twoim przewodem—złączym się z narodem”.

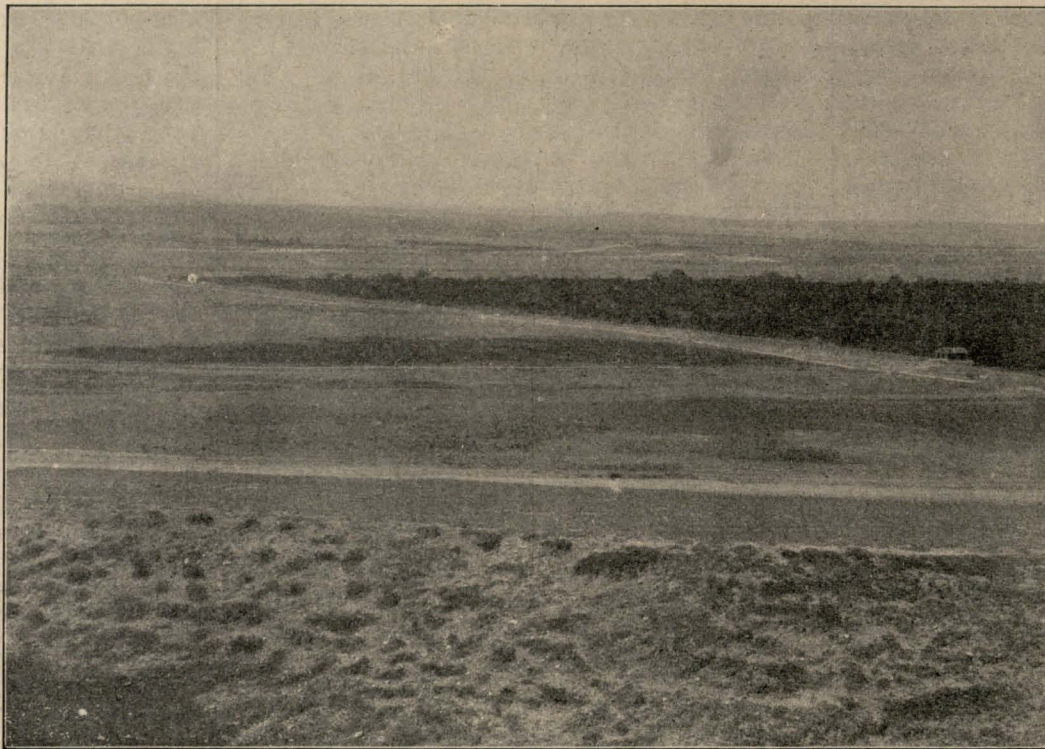
niowy, kręgi szyjne, uznane przez specjalistów za kości człowieka bardzo młodego.

Muszą one podlegać jeszcze badaniom. Ale nie tylko lekarzy-anatomów. Przede wszystkim, historycy muszą dokładnie zbadać

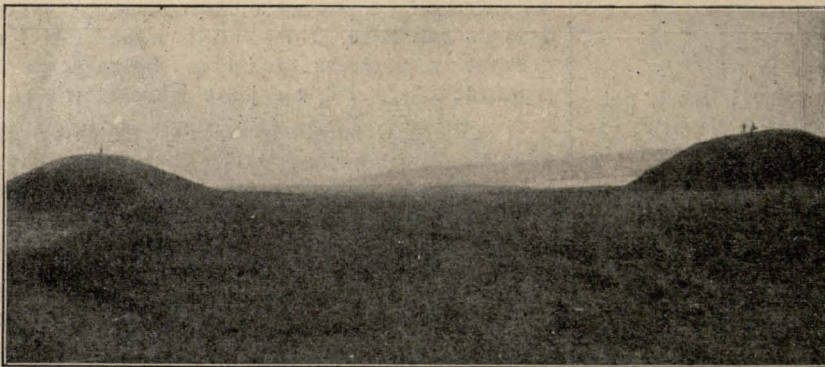
Czy to są istotnie jego szczątki? Wszak tylu rycerzy zginęło pod Warną! Może to jeden z szeregowców, nie wódz?

Za—przemawia wieść gminna. Z dawien dawna miejsce to, z którego wykopano kości, słynęło, jako mogiła bohatera, wodza, księcia, a tradycja ta przechowała się nawet w nazwie. Aż znalazła się niewiasta bogobojna, podniosłem życiem, cnotę pełną słynącą, Todora Iljewa, która poczęła głosić, że jest to grób świętego i bohatera, może aby stworzyć dla pielgrzymek ludu miejsce, cudami słynące.

I kiedy rozeszła się ta wieść, lud rzucił się tłumnie do odkopanego potajemnie w nocy grobu i porozchwytywał kości szkieletu. Pozostały tylko szczątki: piszczel ramie-



Widok poboju warneńskiego, zdjęty z miejscowości, położonej w pobliżu prawdopodobnych stanowisk zboru wojsk chrześcijańskich w r. 1444.



Dwie mogiły poboju. Z pierwszej mogiły prawdopodobnie Warnęńczyk puścił się był do ostatniego ataku lub szturm. Tu też stoi pomnik jego, postawiony przez dywizję Zamojskiego w r. 1856.



Widok grobu z obecnymi przy oględzinach grobu osobami.

cach, lecz o owego złotego wodza, co im hetmanił. I obawa, niestety! nie pozostała płoną: niebawem legł król pod ciosami wrogów.

Pozostał po nim ten okrzyk nieustraszonego męstwa, wyraz ducha bohaterskiego i po-

Zmieniły się czasy. Inne wyznajemy hasła, ale nie staliśmy się innymi. I dlatego po ziemiach polskich wszędzie wywoływała dreszcz wzruszenia wiadomość o znalezieniu szczątków Warnęńczyka.

miejsce, gdzie je znaleziono, porównać różne opisy bitwy warneńskiej, by ustalić, czy tu właśnie rzucił się Władysław w tłum Turków.

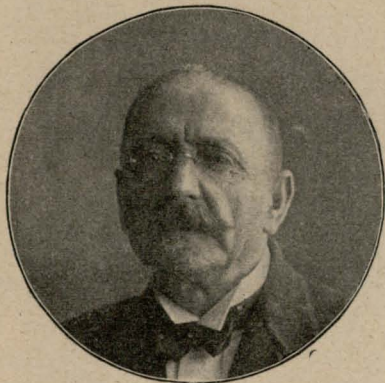
Trzeba to wyświecić, trzeba dowiedzieć, że to, co ocalało, są ziemskie szczątki młodego



Grób z chałupką strażniczą turecką (na prawo stoi Turek i J. Greczynowski nad grobem).



Wnętrze grobu.



Jerzy Dymitrow.



Karol Szcorpil.

króla, że to są właśnie pamiątki jego bohaterskiego zgonu. Trzeba dowieść, mimo że przeciw niezbyt poważne przytoczono argumenty. W liczbie ich mamy i ten, że kości zostały przez Todorę podrzuczone. To jest nieprawdopodobne. Bo, jeżeli grób był przedtem nie tknięty, to musiał zawierać kości, bo nad pustym dołem nikt nagrobków nie stawia. Więc substytucja? Pomijając już, że byłaby trudna i ciężka, nasuwa się pytanie, po co? Jeżeli szczątki bohatera są dla Todorę przedmiotem adoracji, można zrozumieć zabranie ich, niepodobna jednak przypuścić podstawienia, czyli zachęcania ludzi do adoracji fałszywych przedmiotów kultu.

* * *

Oglądał szczegółowo pobojowisko, mogiłę, szczątki p. J. Grzegorzewski w towarzystwie profesora gimnazjum w Warnie, p. Jerzego Dymitrowa, i prezesa miejscowego Towarzystwa archeologicznego, p. Szcorpila. Zebrany przez siebie szczegółami podzielił się z czytelnikami *Kuryera Warszawskiego*, który przez uprzejmość koleżeńską zwrócił się do p. Grzegorzewskiego, aby zechciał zdjąć dla nas fotografię z pobojowiska. Nie możemy oczywiście podawać wszystkich tych szczegółów, które streściliśmy z konieczności bardzo zwięźle wyżej. P. Grzegorzewski umiał zachować zupełną obiektywność sądu. I słusznie. Niema bowiem dziś jeszcze dostatecznych danych, aby sprawę rozstrzygnąć stan-

nowczo. I przewidywać trzeba nawet, że może na zawsze pozostać nie rozstrzygniętą.

* * *

Ilustracje nasze podają grób w takim stanie, w jakim był d. 2 września podczas oględzin p. Grzegorzewskiego i towarzyszy. Wedle opowiadań świadków przed rozkopaniem przez Todorę i jej wyznawców, czyli przed nocą z d. 11 na

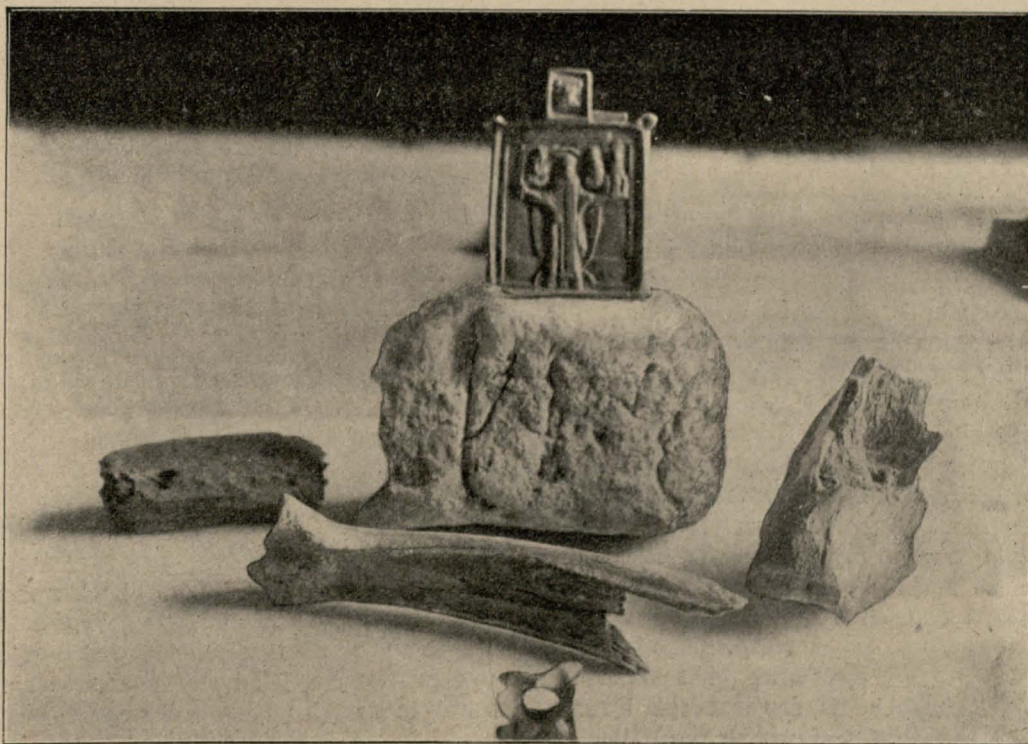
12 lipca (wigilia św. Piotra i Pawła według starego stylu), był przykryty płytami kamien-

szczyka. Po przejściu tłumu kilkuset osób, z których każda usiłowała zabrać jakąś pamiątkę, oczywiście zostało niewiele.

Zabezpieczenie dalsze mogły natrafia na trudności dlatego, że miejsce, na którym się znajduje, jest religijnie uświęcone dla muzułmanów i że ich gmina wyznaniowa będzie stawiała różne trudności. Wedle podań mahometańskich ma to być grób jakiegoś świętego tureckiego.

* * *

Jeżeli jednak dalsze badania wykażą, że naprawdę mamy do czynienia z istotnymi szczątkami Warneńczyka? Wtedy zwłoki młodego króla sprowadzimy na Wawel, by spoczął tam wśród swoich i obok swoich najbliższych.

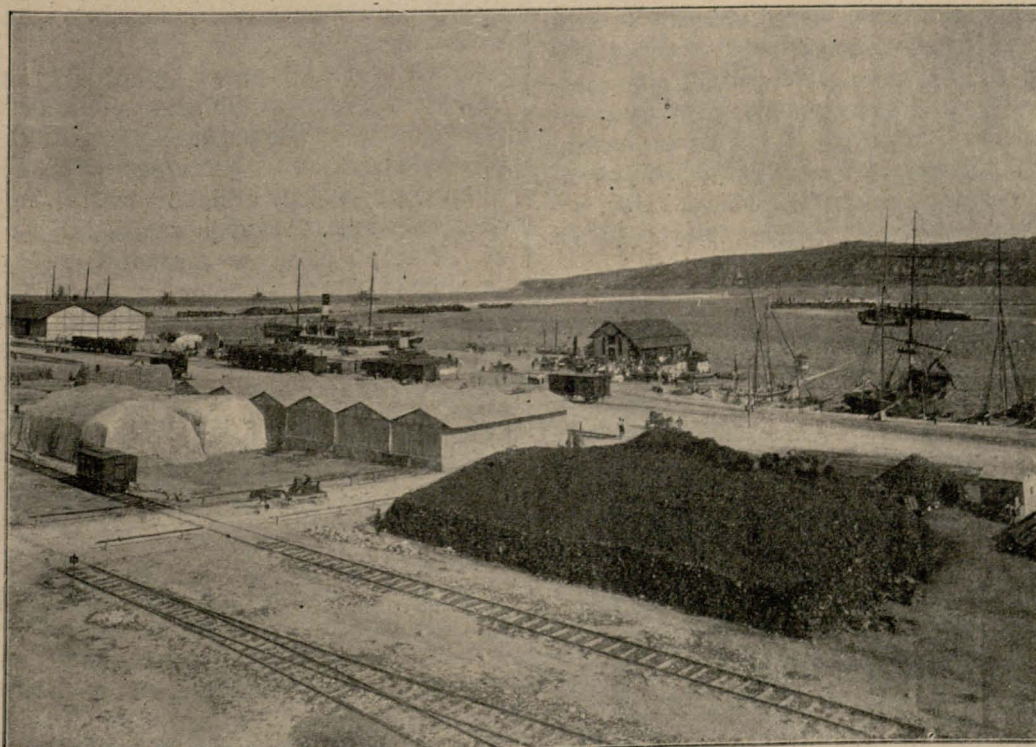


Przedmioty, znalezione w grobie i przechowane w dyrekcji policji warnieńskiej. Trzy kawałki kości ludzkiej, obrazek mosiężny i kawałek drzewa.

nemi z grobowcem czyli przestosowanym do miejscowych warunków kamieniem nagrobnym, odpowiednim do osoby i dostojności niebo-

A dzwony katedry królewskiej, które żałobnymi akordy rozbrzmiewały na cześć mocarza ducha, króla pieśni polskiej, odezwą się po raz pierwszy wspólnie dla bohatera, który był nie tylko królem duchem, zwierciadłem cnót rycerskich, ale dla potężnego niegdyś władcy ziemskiego, dla naczelnika wielkiego państwa polskiego.

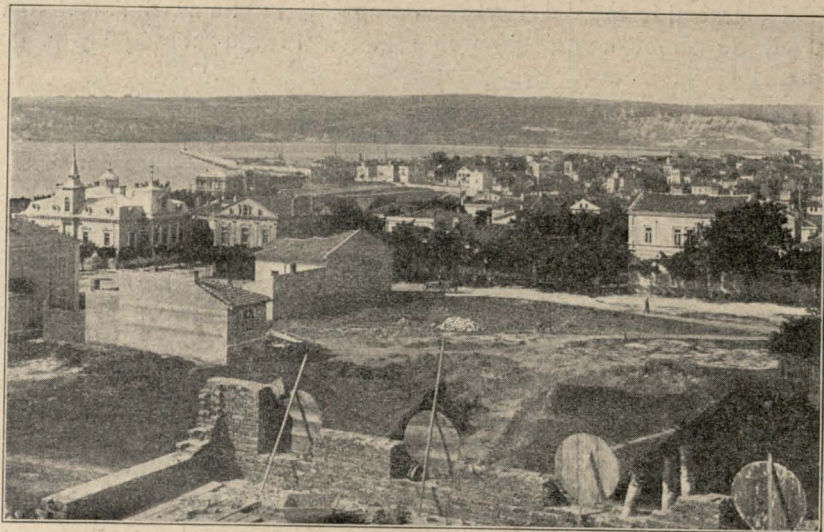
Wybujala myśl nasza i uczucie nasze wysoko podczas ostatniego stulecia, aż osiągnęła szczyty ducha. Naród pozostał narodem, acz przestał być państwem. Obok wielkich myślicieli i wieszczów staje dziś postać Warneńczyka, jako przypomnienie i symbol idei dawnego państwa polskiego.



Port warnieński z widokiem na przeciwległą Galatę.



Todorę Iljewa.



WIDOKI WARNY.

NA POCZTÓWKACH.

XI.

WRAŻEN NIECO.

Wiedeń.

Nawprost mego okna hotelowego, po tamtej stronie wąskiej ulicy, mam jakby przekrój wielkiego gmachu, zajętego całkowicie przez „konfekcję” damską.

Olbrzymia ściana cała w szerokich szymbach. Po ramach tych szyb pną się girlandy i festony żywej zieleni, rosnącej na balkonach, i kołyszą się na wietrze, pstre od kwiatów.

Poprzez tę istną ścianę szklaną oglądam codziennie jakby żywe panopticon: wewnątrz pracowni ogromnego „*Au bonheur des dames*”.

Cała boczna kolumna szyb, od parteru do nie zliczę którego piętra, oświetla klatkę schodową i codziennie rano, przed samą ósmą, widzę, jak biegnie w górę po schodach rój szwaczeczek i rozsypuje się po nieskończonych ubikacjach zakładu.

Idą... idą... idą...

Oto dwie, trzy, zaferowane, spóźniające się, mignęły mi na pierwszym piętrze, znikły na chwilę z oczu, i oto widzę je, już

nieco wolniej wstępujące na piętro wyższe...

Za nimi, na skrócie schodów ukazują się grupa subjektów; wymijając panny, kłaniają się grzecznie.

Koledzy codziennego zajęcia.

Coraz rojniej i rojniej na piętrach. Jeszcze tylko starsze panny poprawiają włosy przed zwierciadłami, lecz u stołów wielkich siedzą już szwaczeczki, tonące, jak w obłoku, w zwyczajach „materyałów”, i szyją—szyją—szyją...

Wdzięczne, jakby marynetkowe figurynki.

I tyle ich, tyle!

A poniżej ich, na dwóch dolnych piętrach—widać—kantory i buchalterye. Mężczyźni tam za biurkami, przy zajęciu.

Piszą i rachują, rachują i piszą.

Czasem któryś podniesie głowę, zapatrzy się w ścianę—szybę i zamyśli się.

Może o której z tych koleżanek, Wiedeńeczek fertycznych, szyjących na piętrze wyżej?

I tak przez dzień cały w tem mojem panopticon wra i kipi robota, a cicho, bez szmeru, gdyż nie słyszę ani głosów, ani najmniejszego szelestu.

Kamienicę szklaną przecina na dwie połowy, górną i dolną, pas okwieconych balkonów, między którymi na marmurowych sztydach złączy się napisy: *Jupes—Manteaux—Dressing Gowns*.

Wiatr lekko kołysze festony zieleni i kwiatów... Na dolnych piętrach panowie urzędnicy firmy piszą—piszą—piszą. Na górnych piętrach, aż hen, pod niebo, szwaczeczki szyją—szyją—szyją...

Niektóre z nich blade niemiłosiernie i znużone; inne rezolucyjne—jeszcze!—ożywione i na twarzach ze świeżymi rumieńcami.

Co za stek kobiet!

I młode to wszystko, i żyć pragnące — i ot tak, rzucone w miasto ogromne...

Nastanie wieczór. Jak wrzątek z zamkniętego hermetycznie naczynia, wyrwie się to wszystko z tego więziennego laboratorium, przeżywającego, jak bezduszna maszyna, setki młodych żyć, i spłynie na ulicę.

Upić się atmosferą—inną!

Bo i im, szwaczeczkom tym, zgarnianym tuzinami po mansardach Wiednia, trzeba żyć.

I dokąd życie niejedną z nich zaniesie? Dokąd?

I tylko potem—kiedyś—jak przez sen—ujrzy się nagle we wspomnieniach, zda się, nie wiedzieć jak dalekich, to wszystko, co oto ja w tej chwili mam przed oczami: te sale, zatłoczone rojem dziewcząt, tę robotę gorączkową ustoiów, zawalonych pokrajnymi „materyałami”, te starsze panny, pretensjonalne i opryskliwe, dozoruujące, i schody te, ciężkie, niemiłosiernie wysokie schody, po których się codziennie—codziennie—codziennie wbiegało lub, nawpół żywa, wlokło się w górę, przystając bez tchu...

Albo ja wiem!

Może tego wszystkiego *niema* tam, za szybami temi, po tamtej stronie ulicy?

Ale ja pisać mogę tylko — *wie ich es sche...*



XII.

Gastein.

Co mi z tego, że świeżo zbudowana i otwarta nowa linia kolejowa, przecinająca góry Tauerneńskie, skróciła o tyle to a tyle kilometrów drogę z Tryestu do Salzburga, kiedy pasya przejechania „świeżego” tunelu alpejskiego (8,500 metrów)... oddaliła mię od Pani!

Ach, mój Boże! co za słońca w tych tu górach.

Po stacyach wiszą, jak ścierki, chorągwie i sztandary, które trzy dni temu fetowały samego cesarza Franciszka Józefa, otwierającego uroczyste „arcydzieło austriackiej inżynierii”—*die Tauernbahn*.

W znacznej mierze pp. inżynierowie austriaccy trudzili się *pour le roi de Prusse*, ile że uproszczony dowóz handlowy do Tryestu wyjdzie, przedewszystkiem, na dobre — Niemcom. Lecz słodko trudzić się — dla przyjaciela!

Górom zaś tutejszym, dalibóg, powabu najmniejszego nowa kolej nie przysporzyła. Zresztą kolej, t. zw. górską—ach!—*plus cela change plus c'est la même chose*.

Alpejskie krajobrazy—też.

Zmienia się przed nimi raz po raz — widz, i zdaje nam się, że widowisko przed nim się zmieniło.

Takich akurat złudzeń doświadczamy — wobec życia.

Ale — jak mi zacny gospodarz zajazdu „*Zur alten Post*” w Spittalu opowiadał—uroczystość otwarcia nowej kolei pozostawiła daleko za sobą wszystkie zgoła uroczystości, których widownią było kiedy schłodne miasteczko, leżące u stóp renesansowego zamku księcia Porcii. „U stóp” piszę w przenośni, zważywszy na atencję, którą spittalczycy otaczają pustą dziś skarbnicę swoją wielu podań, tradycji i legend...

W chwili atoli, gdy pociąg, wiozący cesarza, zbliżał się do dworca kolejowego, tonącego we flagach i girlandach, jakby istnieć przestał sam zamek, w którym ongi własne ogary zagryzły na śmierć księcia de Salamanca.

No, i takiego aeropagu dostojników, tworzących orszak monarchy, jak Spittal Spittalem, nie oglądano nigdy jeszcze.

Pomijam ministra kolejowego Wrbę. Ale wiceprezes c. k. Najwyższej Izby Rachunkowej, dr. Eugeniusz Hauenschild - Bauer von Przerab! Ale prezes austriackiego Lloyd'u, dr. Derschatta... członkowie Izby Panów: hr. Czernin v. Chudenitz i hr. Thurn-Valsassina... bur-

mistrz Lublany, p. Ivan Hribar... poseł Schoiswohl... szef korpusu Potiorek... dyrektor poczty i telegrafów Karynty, p. Pokorny... a dalej szef departamentu ministerium skarbu, dr. Severin Ritter von Kniazolucki... szef departamentu kolejowego, Stanislaus Ritter Kosinski von Rawicz...

Same nazwiska— austriackie.

Poświęcenia nowej kolei dopełni *Fürstbischof von Gurk*, jużbym nie umiał powiedzieć, do jakiej należący narodowości.

Dla kogo jednak, jak dla kogo, ale nowa kolej jest dla Gasteinu wspaniałym darem. Pomyśleć tylko, z jakim trudem musiał się tu, w tę kotlinę, przedostawać schorowany sam cesarz Fryderyk IV — w roku Pańskim 1436-ym! A i cesarz Wilhelm I, który aż 19 razy fatygować się raczył na kurację do Gasteinu, że też nowej kolei nie doczekał!

Stąd nauka, że z tych lub owych powodów *każdy* bez wyjątku człowiek umiera — przedwcześnie.

CZESŁAW JANKOWSKI.



Z SEJMU GALICYJSKIEGO.



Namiestnik, dr Bobrzyński, przybywa na posiedzenie.



Manifestacja demokratów narodowych przed gmachem sejmowym. Na czele poseł dr. Ernest Adam.



Grupa posłów demokratyczno-postępowych z d-rem Bandrowskim na czele.

Nasza rycina tytułowa.

Podniosła chwilę z dziejów starożytnego Rzymu przedstawia obraz z tegorocznej wystawy weneckiej, włoskiego mistrza E. Maccarego, którego reprodukcję podajemy na czele niniejszego numeru *Tygodnika*. Rzym podbija jedno za drugim państwa i plemiona Italii. Miasto Tarent wzywa na pomoc króla Epiru, Pyrrhusa, ciekawy typ kondotyera starożytności. Dwie bitwy: pod Heraklą (w r. 290 przed Chr.) i Askulum (279 r.), przyprawiwszy obie strony o ciężkie straty, nie rozstrzygają kampanii. „Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a zostaną bez armii!”—woła Pyrrhus i wysyła do Rzymu posłem zrzecznego Cyneasa, wzywając do zawarcia pokoju. Już niespokojni o przyszłe losy wojny senatorowie gotowi byli nawiązać rokowania, gdy wtem zjawił się w ku-

ryi stary, ociemniały Appius Klaudyusz Caecus (t j. ślepy), cenzor, i płomienną mową zagrzwał ojców narodu do podjęcia nanowo walki. Wydano więc Cyneasowi rozkaz bezzwłocznego opuszczenia nadtybrzańskie grody, a w siedm lat potem, po śmierci Pyrrhusa, Tarent otworzył swe bramy Rzymianom, w roku zaś 265 Rzym stał się panem całego półwyspu Apenińskiego. Do tego samego momentu odnosi się słynne powiedzenie Cyneasa: „Senat rzymski wydał mi się zgromadzeniem królów”. Była to chwila, kiedy cnota rzymska jaśniała największym blaskiem.

Jubileusz zasłużonego kapłana.

W dniu 8 b. m. obchodził archiprezbiter kościoła Panny Maryi, ks. infułat Józef Krzemiński,

pięćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa. Rodowity Krakowianin, który w grodzie podwawelskim spędził młodość i z małymi przerwami piastował tu kolejno rozmaite godności kapłańskie, ks. Krzemiński zaskarbił sobie wśród szerokich sfer ludności Krakowa szczerą sympatię i szacunek zarówno zaletami swego pięknego i czystego cha-

prałat na dalsze przyzdobienie i konserwację tej królowej naszych świątyń. Mimo dobrej prebendy, majątku ks. Krzemiński nie posiada, jak twierdzą wtajemniczeni, ponieważ znacznej części jego osobistych dochodów należy szukać w skrupulatnie odnawianych murach kościoła Panny Maryi, we wspaniale za jego staraniem wyposażonej zakrysty i szatni. Popularny, niezmiernie łatwy w obejściu, na przejawy życia społecznego i ducha czasu wrażliwy, ks. Krzemiński zawsze chętnie śpieszy z pomocą i ofiarą, gdzie go obowiązek gorącego patrioty i kapłana polskiego wzywa. To też życzenia, które mu w dniu jego jubileuszu kapłańskiego składano, nie były tylko czczym konwenansem, ale rzeczywistość z serca płynęły. Kraków bowiem, i wielki, i średni, i mały, serdecznie „swojego” proboszcza sędziwego ukochał.



Ks. infułat Józef Krzemiński.

rakteru, jako też pracowitością, czynnością wielką i surowym poczuciem swoich wysokich obowiązków. Nic też dziwnego, że w obchodzie jubileuszu pięćdziesięcioletniego sędziwego, a bardzo popularnego ks. proboszcza „od Panny Maryi” wzięły udział wszystkie stany, od kardynała do najbiedniejszego z pośród jego parafian. Miarą zaś stanowiska, jakie czcigodny infułat zajmuje w sferach duchowieństwa, jest fakt, że papież przysłał mu błogosławieństwo nie, jak zwykle, w drodze telegraficznej przez kancelaryę, ale we własnoręcznym liście, do niego serdecznie napisanym. Jako proboszcz i stróż najpiękniejszego zabytku naszego budownictwa kościelnego, wspaniałej świątyni Maryackiej, ks. Krzemiński zasłużył się wielce, łącząc bardzo wiele na jej odnowienie. Każdy uciulany grosz obraca zacny

Z PRASY.

Sympatyczny miesięcznik *Sfinks*, umiejętnie prowadzony przez znanego poetę i krytyka, Władysława Bukowińskiego (Selima), wkrótce dobiegnie drugiego roku istnienia. Stojąc ponad stronnictwami i koteryami literackimi, zawsze wierne hasło: „sztuka dla sztuki”, czasopismo to umie skupić pod swoim sztandarem najlepsze siły literackie i naukowe, bez względu na wyznaczenie wiary polityczne i estetyczne. I nikogo dziwić to nie będzie, jeżeli na szpaltach *Sfinksa* znajdzie obok siebie pisarzy najrozmaitszego autoramentu, od najstarszych do najmłodszych; i to właśnie czyni ten organ tak sympatycznym i poczytnym. Ostatni, wakacyjny zeszyt (za lipiec i sierpień),



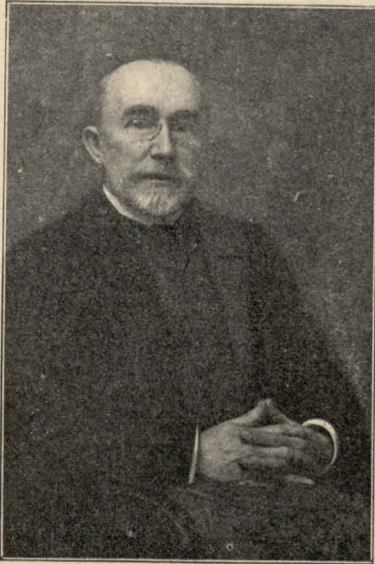
Żywy obraz: apoteoza.

OBCHÓD SŁOWACKIEGO W GNIEWANIU NA PODOLU.

obszerny tom, o 17 arkuszach druku, świadczy raz jeszcze o zabiegliwości ruchliwej redakcji, jak również o tem, że *Sfinks* dbały jest niezmiernie o dostarczenie swym czytelnikom obfitej i posilnej strawy duchowej. Przypuszczając więc należy, że młody miesięcznik nie będzie się uskarżał na brak poparcia czytelników, którzy umieją odróżnić szlachetną chęć służenia bezinteresownie sztuce od kramiku szumnemi hasłami estetycznemi.

Portrety na dobie.

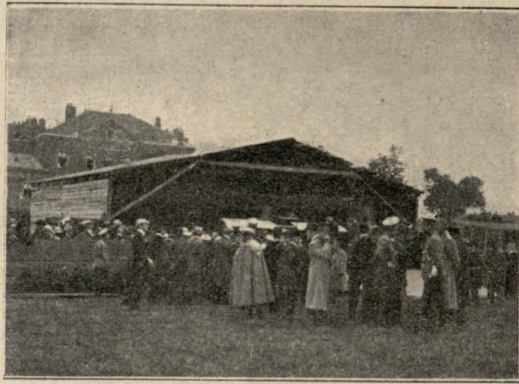
ERAZM MAJEWSKI.



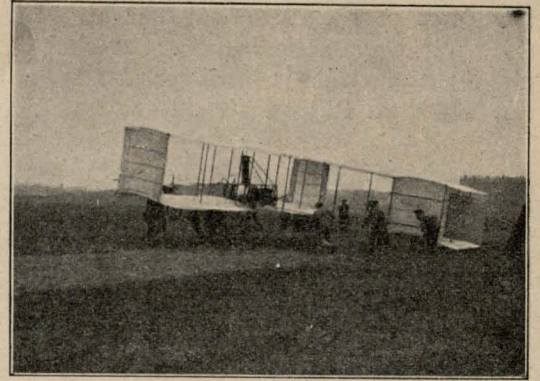
Członkiem Instytutu międzynarodowego socjologii (Institut international de sociologie), który w gronie swym liczy tylko dwóch Polaków (Zygmunta Balickiego i J. K. Kochanowskiego), mianowany został w lipcu r. b. Erazm Majewski. Zaszczyt ten spotyka wielce zasłużonego uczonego naszego, byłego redaktora *Wistyi*, redaktora *Światowida*, za znakomite dzieło jego p. t. „Nauka o cywilizacji. Prolegomena i podstawy do filozofii dziejów i socjologii”, które zyskało poklask i uznanie najwybitniejszych uczonych całego świata. Książka ta wyszła następnie u Alcana w Paryżu, w tłumaczeniu francuskim. Erazm Majewski kończy teraz opracowanie drugiego tomu cennego swego dzieła, którego początek równocześnie ogłasza w języku francuskim w *Revue Internationale de sociologie*, urzędowym organie wzmiankowanego instytutu, wydawanym pod redakcją René Wormsa, a cały tom drugi ukaże się w wydawnictwie tegoż Instytutu, jako osobny tom *Bibliothèque Internationale de Sociologie*.



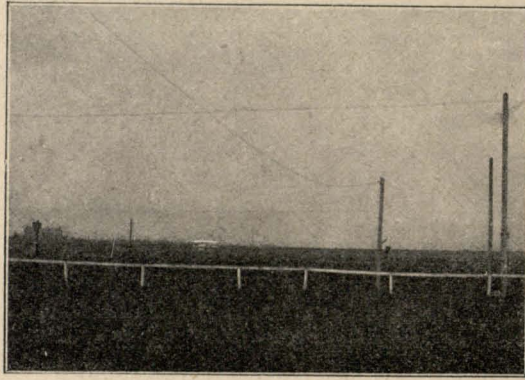
AEROPLAN W WARSZAWIE.



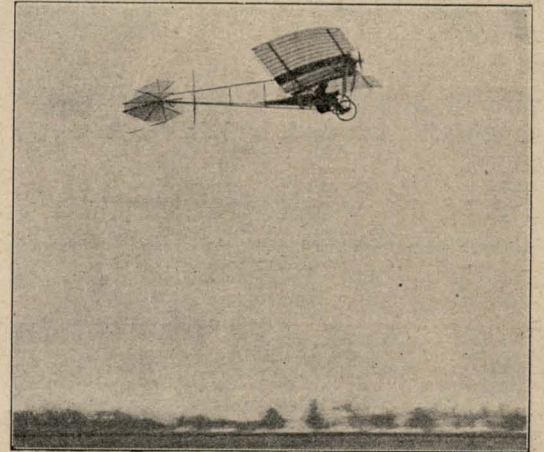
Przed hangarem na placu wyścigowym.



Aeroplan Voisina, produkowany u nas.



Tak aeroplan *nie* latał w Warszawie. Nieubłagana fotografia utrwala tylko usiłowanie wstępu podczas jednego z dwóch dni, kiedy tysiące osób, powodowanych uzasadnioną ciekawością, pośpieszyło na pole mokotowskie, gdzie spotkał je zawód.



A tak latają we Francji. Santos Dumont robi na swojej „Demoiselle” 96 km. na godzinę nad polem manewrów w St.-Cyr.



Z WYSTAWY CZĘSTOCHOWSKIEJ. Grupa uczestników zjazdu higienistów w Częstochowie.



Długoletni pretendent marokański, Bu-Hamara, więziony w klatce na miejscu kaźni. Zginął, skazany na rozszarpanie przez dzikie zwierzęta.

O KIM MÓWIĄ WE LWOWIE.



Konstancya Bednarzewska.



Hubert Brzozowski.

W. Golińska
PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI,
BRONZY, PORCELANA, PERFUMY.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

DERENIÓWKA

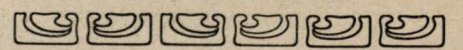


F. JANKOWSKIEGO.

Składy na Meble

„SYRENA”
Krak. Przedm. 38

MEBLE STYLOWE M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.



„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44,
w Warszawie kwartalnie rub. 1,
z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.



PUBLICZNOŚĆ

Rys. ZYGMUNT BRUNNER

W TEATRZE ŻYDOWSKIM.

WRAŻENIA PRZYGDONE.

P. Maurycy Moskowitz, amerykański *celebrated character actor* (tak głosiły plakaty z jego wizerunkiem), miał w żargonowym teatrze Bagateli wystąpić w cieszącej się niemałą wziętością sztuce Gordina „Herszele Dubrowner”.

Oto jaka atrakcja niepospolita zawiodła mnie dni temu kilka do jednego z teatrów żydowskich Warszawy. Bo my już obecnie poszczycić się możemy bodaj że aż trzema letnimi teatrami żydowskimi, robiącymi podobno wcale dobre interesy... Jakoż i w Bagateli zastałem publiki co niemiara.

Ogromna hala tamtejszego teatryku, licząca samych rzędów krzeseł dwadzieścia kilka, przepełniona.

Rojno, gwarno, a ciemno. Nikt nikogo za potrącenie nie przeprasza, a nieporozumień o miejsce nie zliczyć. Sporo—na oko—inteligencji zamkniętszej (sfera np. kupiecka); najwięcej *tiers-état'u*; gęsto charakterystycznych, niskich, płaskich czapeczek nacyonalistów żydowskich (przeważnie młodzież); reszta szary tłum. Wybitna cecha publiczności: absolutna obyczajowa bezceremonialność. Czuć, że wszyscy dają folę... temperamentowi, znalazłszy się *en famille*.

Słucham, czy przeważa żargon. Przeważa lecz nie—panuje. Mocno przeplata go mowa polska, praktykowana przez inteligencję żydowską nawet w najpoufniejszych konwersacjach antrakto- wych: np. podczas przechadzania się po ogródku, przy kasie, przy bufecie. Nieposzednio często rozlega się język rosyjski, adoptowany, jak wiadomo, za ojczysty przez Żydów „inteligentów” z Cesarstwa.

— *Masza! Eto nie twoje miasto! Sadiś rjadom.*

Teatr—że to—„ludowy”? Nie, to raczej przybytek—nacyonalizmu. Czuć, że wiele osób przyszło tu jedynie dla zamaniestowania swego pietyzmu dla „narodowego” żargonu. Popierają sztukę swoją, ale dalecy od zachwycania się nią. Smakuje im lepiej teatr polski... oczywiście; ale *hébraïsme oblige*.

A ten Moskowitz toż przecie „nasza chwała” zaatlantycka w rodzaju Kochańskiej lub Mierzwińskiego. Trzebaż przecie—pokazać się i poklaskać! Z drugiej strony omal że chciałoby się nie rozumieć żargonu. No i z pewną nonszalancją przyjmuje się koncepty sztuki lub dramatyczne jej momenty. Spokojnie, jakby spełniając przyrodzony obowiązek.

Inaczej zachowuje się tłum. Słucha z wyteżoną uwagą; wrażenia swoje manifestuje głośno, a obficie. Po skończonym akcie młodzież nacyo-

nalistyczna pędzi, roztrzającą wszystkich, ku scenie, aby owacę wyprawiać aktorom...

A sztuka Gordina...

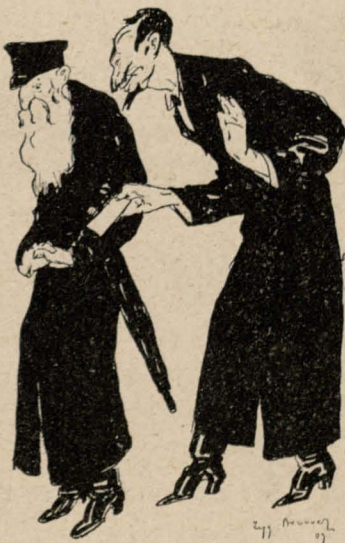
Wpierw jednak niech zapewnię, że więcej niż połowę jej zrozumiał. Ułatwił mi sprawę znakomicie sam p. Moskowitz. Mówi wręcz—po niemiecku! Widać, takim jest żargon... amerykański. I był mi p. Moskowitz cennym jakby przewodnikiem po labiryncie czystego żargonu innych aktorów.

Sztuka tedy Gordina, mocno prymitywna, jako utwór literacki, jest jednak doskonała, jako spektakl—dla tłumu.

Rozpoczyna ją prolog, dziejący się—za światem. W obłokach—chóry zbawionych, śpiewające hymn przy akompaniamencie orkiestry. Widać za gazą ich postacie, otulone w białe płachty, a w głębi kulis, na tle chmur, unoszą się charakterystyczne... twarzyczki aniołków (jak na obrazach Murilla), co sprawia

wrażenie istotnie nieposzednie, zważywszy na gatunek tego „nieba”. Za chwilę występuje na podium... Mefisto. Tak, we własnej postaci, jakby żywcem z „Fausta” wycięty, tylko że z okrutnym w dłoni trójzębem złocistym. I rozpoczyna długi dyalog z Jehową, przemawiającym gromkim basem—z za kulis.

Chodzi o to, iż Mefisto utrzymuje, że niema człowieka, któregoby bogactwo nie zdeprawowało, zaś Jehowa jest przecie w n e g o zdania. W rezultacie Mefisto podejmuje się znieprawić bogactwem nawet tak cnotliwego i bogobojnego osobnika, jak Herszele Dubrowner.



MEFISTO-KOLEKTOR.
Rys. Zygmunt Brunner.

prawdy, śpiewają wcale poprawnie. Kapelmistrz tylko rzuca się i wywija batutą, jak histeryczny wiatrak.

Antrakt. Widz każdy, wychodzący z hali, otrzymuje kontramarkę. Przestrzegano pilnie, a nawet brutalnie, aby laski składać w szatni. Teraz każdy laskę swoją odzyskuje i potem już bierze ją z sobą do krzeseł.

Akt pierwszy rozpoczyna się wielkim tumultem gromadzącej się napowrót publiczności i długą chwilą ponownych nieporozumień o miejsca. Na scenie zaś—uboga izba rodziny Dubrownera. Bardzo charakterystyczna, bardzo ciekawa, jako obrazek rodzajowo-obyczajowy z wieloma interesującymi szczegółami. Zjawia się Mefisto (jak w *Dyable* Molnara) pod postacią kolektora biletów loteryjnych. Z trudem namawia Dubrownera, aby kupić bilet. Wreszcie dopiął swego, i... w Dubrownerze, oraz wśród całej jego rodziny zaczyna budzić się przeklęta gorączka złota.

No i Dubrowner wygrywa wielki los. Staje się zamożnym człowiekiem. Z dobrobytem nie zapracowanym spadają nań różne niezbrane dotąd—apetyty i żądze. Mefisto wciąż przy nim i wlecze go dalej po drodze fatalnej. Dubrowner bierze

się do wielkich spekulacji przemysłowych. Fortuna jego rośnie. W akcie następnym jest już prawie bogaczem. Wówczas rozwodzi się z leciwą małżonką swoją i poślubia piękną pasierbicę. Targają go wyrzuty sumienia, lecz Herszele inny już jest, niż za czasów ubóstwa. Kpi sobie z sumienia.

Potem widzimy dalszą fazę upadku bogatego człowieka. Mefisto udaje, że chce odebrać Dubrownerowi pieniądze. Wówczas Dubrowner, broniąc złota, zabija swego przyjaciela. Popęłnił—za bójstwo!

I wszystko to podane jest ze sceny bardzo plastycznie, efektownie, a nie do zbytku melodramatycznie.

Rzecz charakterystyczna! Na publiczność żydowską działa w równej mierze żywa akcja, jak—długa dysertacja, któraby inną publiczność znudziła. Czuć upodobanie tej publiczności do roztrzasań, do spekulacji filozofującej, nawet do zawilej frazeologii, podsycanej niespodziankami myślowymi i stylowymi. Oto, w trakcie pędzącej naprzód akcji, rozpoczyna się długa rozmowa Mefista ze starym ojcem Dubrownera, arcy-ciekawą figurą tragi-komiczną. I ów stary Dubrowner wręcz zatrzymuje całą akcję długim gadaniem najzupełniej... talmudycznym, w którym dziwaczne parbole idą o lepsze z przelewaniem z pustego w próżne. I takiego intermezzo słucha publiczność z najwyższym zajęciem! I takie właśnie epizody charakterystyczne nadają sztuce specyficzny koloryt. Publiczność żydowska lubi... piękne, a mądre mówienie. Można ją najzupełniej „wziąć” takim ze sceny nawet trudnym do rozwikłania żonglowaniem słowami. Czuć we krwi tej publiczności: „studya” talmudyczne. Niemiecki wyraz *Grübeleien* maluje dokładnie skłonność i upodobanie, którym Gordin w sztuce swej hojnie zadość czyni.

Długo, bardzo długo trwało widowisko.

Herszele Dubrowner zabijał Mefista mniej więcej o samej północy.

Zaczęło powoli przerzedzać się—w krzesłach. Wykwintniejsza publiczność miała dosyć—obecności własnej na święcie narodowym i odpływać zaczęła wcale nawet tłumnie przez ogródek, ciemny prawie zupełnie, na ulicę, ku... ostatnim odchodzącym z Mokotowa tramwajom.

Jednym z tych ostatnich tramwajów wracałem wspólnie z licznym teatralnym towarzystwem Bagateli.

Nie zachwycano się p. Moskowitzem. Istotnie, nie dorósł on nawet do kostek Kamińskiego, a miał przecie w rękach rolę, z którejby Kamiński oho! co uczynił. Ale natomiast udało mi się oglądać w Bagateli istotnie niepospolitego artystę, p. Fiszlewicza, grającego starego Lejzora. Talent, w dodatku subtelny. A i pani Abelman (Pesele, żona Dubrownera) musi mieć niejedną wybraną rolę charakterystyczną za sobą. Wogóle, wcale niezła trupa, godna—choć cokolwiek lepszych dekoracji, niż te nadzwyczajne wprost prymitywności, które się w Bagateli zdumionym oczom prezentują.

Ale ta masa publiczności w tak ogromnej hali, ta masa!...

Zakasowali nawet... kabarety. Żeby mi tak zdrów był!

MARWICZ.



ANIOŁKI

ZYGMUNT BRUNNER



Jurko przydrepywał
coraz bliżej.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 39)

Skoro tylko oddalili się od domów, Krystyna zapytała:

— Kochasz jeszcze?

— Powiedziałem: do śmierci. Jeszcze żyję.

Tego było potrzeba na prawdziwe powitanie dnia drugiego w ich nowym życiu. Ale rozmowa spadła zaraz na niższe poziomy.

— Dlaczego Hylzen taki nadąsany? — zapytał po chwili Kazimierz.

— Bo wybrał się właśnie dzisiaj z prośbą o moją rękę.

— Więc powiedziałaś... pani?

— Cóż mogłam powiedzieć? Namysł się... pan.

— Przepraszam, jedyna moja! Pytam, czy oznajmiłaś mu o nas?

— Miałam właśnie powiedzieć, kiedyś nadszedł.

Ta wiadomość, połączona z uprzednimi rozmyślaniami, przejęła Kazimierza jakimś przekornym chłodem. Więc Krystyna omi-

nęła dobrowolnie okazyję wyjścia za „porządnego i bogatego człowieka”, jak radził Assernhof. Radowało go to zarazem i kociło.

Milczał przydługo, aż Krystyna zapytała:

— O czym mój pan myśli?

— Prawda... myśli moje wszelkie należą do... ciebie. Jeszczem się do tego nie przyzwyczyli. — A jeżeli myśli są płaskie, pospolite?

— Chcę znać wszystkie, i moje też oddam bez wyboru.

— Więc myślę, że lepiejby ten Hylzen był jakimś znajomym bez pretensyi... bogatym wujaszkiem, któryby pożyczył pieniędzy na ratowanie Auszry.

Krystyna spoważniała znacznie.

— Na ratowanie? więc już wiesz?

— O czym?

— O stanie mego majątku?

— Przed oceną lasu dokładnie wiedzieć nie mogę, ale mówili mi różni.

— Ach, tak...?

Teraz ona zamilkła na długą chwilę, a potem z pewnym przymusem wróciła do rozmowy:

— Miałam też dzisiaj nieznośną przeprawę z panem Chmarą.

— I o tem mi już mówiono.

— Ale nie o treści, bo rozmawialiśmy zupełnie sami. Chmara mi oświadczył, że wierzyciele wezmą Auszrę najdalej na wiosnę przyszłego roku, jeżeli...

— Jakto?!—zawołał Kazimierz oburzony — śmiał stawiać swoje bezecne warunki poprzednie?

— O, nie! on jest zawsze dobroczynny i przezorny. Przedstawił nową kombinację. Najgorszy dług, ten ostatni, zaciągnięty przez... jego brata, chce przejąć na siebie księżna Zasławska. Chce mi pożyczyć pieniędzy.

— A pani co na to?

— Nie przyjąłam.

— To dobrze—rozpromienił się Kazi-

mierz—my z tymi ludźmi nie możemy mieć nic wspólnego.

Ale zasepił się znowu.

— Ja także muszę wyznać, że bogaczem nie jestem. Daleko nawet do tego. Mam pensję od ojca, mam zapewniony znaczny kredyt na przedsiębiorstwo w Królestwie. Teraz, gdy tej przedsiębiorstwu budować tam nie będę, nie wiem, ile mi się uda zebrać na nowe zamiary... Powiniennem być powiedzieć to wczoraj, a mówię dopiero dzisiaj.

— To znaczy...?—spytała Krystyna, blednąc.

— Znaczą, że mam dla zbudowania przyszłości tylko chęci i siły, że nie zdołam może od razu otoczyć pani takim dobrobytem, do jakiego przywykła.

— To i ja mogę nie być nic warta, oprócz tego, co mam w sercu—rzekła Krystyna z gorącym wyrzutem w spojrzeniu.

Zatrzymali się i oczy utkwili w sobie nawzajem, rozżalone na los, czy na innych ludzi, a przecie i pomiędzy sobą poróżnione teraz, pytające o wyjaśnienia niebezpieczne. Ujęli się potem za ręce, i uczyniło im się lżej.—Zapałyły oczy kochanym ogniem, i on ją przyciągnął do siebie, a ona rzekła tylko, nauczona wczorajszym doświadczeniem, lustrując drogę w obu kierunkach:

— Nie tutaj na widoku...

Więc zeszli na bok drogi pod zasłonę dużych drzew i...

Stało się zaraz jasno na świecie i w przyszłości. Zeswatała się z nimi przyroda śpiewem i zapachem, słońce złotym deszczem tryskało przez liście, trawy przydrożne przemówiły nieznaną wonią, ruczaj płynął przy drodze i szeptał, że kochanie jest jedynym życiem, że do szczęścia nie potrzeba wam nic więcej, oprócz was dwojga.

— Chodźmy, chodźmy już—wyrwała się z uścisku zapłoniona Krystyna—nawet nie mamy pierścionków.—Mówmy teraz o rzeczach naszych, tylko mnie już nigdy nie nazywaj panią...

— Mój ty skarbie jedyny! Prawda, jacy my nierozsądni! Świat cały nasz, a cóż nam te drobiazgi?

I od razu wszystkie plany ułożyły się prosto cudownie. Auszra będzie uratowana, bo najprzód... tak być musi, następnie ojciec Kazimierza, gdy się dowie, pośpieszy z czynną pomocą.

— Kiedy ja poznam twoich rodziców?—pytała Krystyna z zapałem.

Naradzono się, jak i kiedy Krystyna pojedzie do Warszawy. Kazimierz nie wątpił na chwilę, że rodzice pokochają od razu jego wybraną. Krótko, ale dobitnie opowiedział o swym stosunku serdecznym do nich, o niezmordowanej pracy obywatelskiej ojca.

— Żebyśmy mogli przyciągnąć ich na Litwę!—projektowała Krystyna.

— To nie. Rodzice są tam przykuci przez długi szereg przyzwyczajęń i obowiązków.

— Ale ty przecie tutaj? my tutaj pozostaniemy?

— My tutaj, tak, najdroższa. Ja już w sercu oddawna zostałam Litwinem.

Wiosna serc zmieniała wszystkie projekty w możliwe i wyborne. Aż się naresz-

cie rozkochani bawić zaczęli trudnościami swej przyszłości, igrać z niemi, jak atleci z ciężarami. Nie będzie tego, to chwyci się co innego w ręce. Aksjomatem pozostało tylko to, że oni do siebie należą. Reszta dodana im będzie.

Śmiali się z potęgi Chmary, z intrygi księżnej Zaslawskiej; śmiali się z tego, że mieszkać będą tymczasem gdziekolwiek, bo nawet i w Auszrze niema domu; śmiali się do siebie, że są tak potężni, tak szczęśliwi w swej znowie. Zbudują sobie przybytek i wzniosą gmachy użyteczności publicznej. A tymczasem idą dziką aleją olszową lekko, bez troski o jutro, bo jutro we dwoje będzie równie silne i rozkoszne, jak dzisiaj.

— Człowiek jakiś wdiera się do naszego królestwa—zauważyła Krystyna, ukazując zbliżającą się wzdłuż cieniów alei postać.

Kazimierz wpatrywał się w tę postać, która posuwała się elastycznym jakimś truchtem w kierunku do dworu wiszuńskiego, mała i wątła, ale niepomiernie gruba w pasie.

— Ależ to Jurko Lejtan!—zawołał Kazimierz radośnie—czemże się on tak opakował?... aha, ptactwo zabite przytroczył naokoło pasa. Nie masz pojęcia, moja prześliczna, jak ja lubię tego starego. Ukazał mi się po raz pierwszy w twoim lesie razem z tobą; w Wilnie on pierwszy dał mi twój adres, a teraz znowu... To jakiś zwiastun szczęścia ten lis swojski, ten gnom, ten...

Stanęli i patrzyli oboje z uciechą, jak Jurko przydreptał coraz bliżej, niesiony, zdawało się, przez kilkanaście par skrzydeł u pasa. Chytre myśliwskie okiem dawno już rozpoznał Kazimierza i Krystynę i tem bardziej stroił się w swój wdzięk osobliwy: wyciągał szyję i nos wietrzący, pochylał grzbiet i wyrzucał nogi nieludzką jakąś metodą, zastosowaną do łowczej chybkosci.

(DCN)

HENRYK ZBIERZCHOWSKI:

NIKT JEJ NIE ZNA.

NOVELA.

Nikt jej nie zna... Jaki?... nikt?! A jednak wszyscy wydają o niej sąd krótki, stanowczy, prawie że nieomylny. Próżny mężczyzna, na którego lubieżne uśmiechy na ulicy nie zważa, przezwał ją „zimną kokietką”; brzydkie kobiety, zazdroszczące jej królewskiej piękności i bogatych strojów, mówią o niej ze złym sykiem gadów: „kokota”; student, ujrawszy ją raz w mrokach kościoła rozmodloną, pomyślał: „Oto zaczarowana królowa z baśni”; literat, włączając się jej śladem, napisał płomienny wiersz o niej p. t. „Szalenica”; a błądliwy marzyciel w cichych modlitwach wieczornych przyzywa ją ku sobie wołaniem: „O przyjdź, Ilajali biała!” Piękność jej jest czemś skończonym, zupełnym, jedynym. Jest ona nieuchwytna, jak obłok, zmienna, jak powierzchnia wody, nieodgadniona, jak cisza nocy...

Z pod długich, aksamitnych rzęs patrzy na świat oczu zapłakane gwiazdy, a w oczach tych pokutuje jakaś odwieczna dwoistość duszy kobiecej: anioł i ladacznica. Co robi przez cały dzień? Czem się zajmuje? Czemu jest oddana? Pielęgnuje paznokcie... na białych, cienkich paluszkach świecą, jak blaszki opalowe.

Wymaga to wiele pracy... tylko te kobiety, które nic nie robią, mogą pielęgnować paznokcie. W wolnych chwilach marzy przy kominku i... pielęgnuje dziesięć buldogów. Rasowe, o szerokich piersiach, z potwornymi głowami smoków, z oczyma, w których czai się wściekłość. W powiewnych, muślinowych zasłonach przechadza się wśród swoich dziesięciu psów, rozdaje łakocie i pieszczotliwe słowa, pozwala przytulać się ohydny, zaślinionym mordom do swoich dziewiczych piersi, których nie dotknął jeszcze żaden mężczyzna. Psy, karmione surowym mięsem i cukierkami z koniakami, są nerwowe i wściekłe. Dziesięć par oczu błyszczą złowrogo w ciemności, jak dwadzieścia tajemniczych karbunkulów...

Dowiedział się o tej dziwnej królowie poeta, warchoł i junak, władca rozległych włości na księżycu, zawsze więc ktoś z rodu królewskiego, nienasycony „pożeracz serc niewieścich”, podróżnik po zaczarowanych krainach marzenia. Potrzęsnał dziwnym naszyjnikiem, na którym, jak sznur różowych pereł, kołysały się wszystkie zdobyte już serduszka, i zawołał:

— Takiej niema jeszcze w mojej kolekcji.

A potem wyruszył po nową zdobycz, uzbrojony w zawrotność słów słodkich i pełnych czaru, w melancholię czarnych włosów, spadających na czoło, w bezdeny smutek oczu, przenikających do głębi.

Junak dostał posłuchanie u Niedostępnej... Zajęczały koralowe zasłony u drzwi... wstąpił w jej komnatę pewnie, zuchwale, bez zdziwienia...

Oczekiwała go na bujającym fotelu, z nóżkami, opartymi o róg kominka, na którym płonęły z sykiem szczapy drzewne. Krwawe odbłaski ognia oświecały część jej twarzy i białą plamę ręki, opuszczonej bezwładnie. Wpatrzyły się w niego ciekawie dwie gwiazdy oczu... Pod wpływem tego spojrzenia jakieś płomienne światła poczęły mu zapalać się w duszy. Na zimnych lodach ręki złożył kwiat-pocałunek i, pochylony kornie, wyszeptał:

— Bądź pozdrowiona... Dziwna!

Usiadł u stóp jej i natrętnie, zuchwale spojrzenie wpił w jej źrenice.

Uśmiechnęła się blade.

— Po co przychodzisz?... czego chcesz ode mnie?

Mówił cicho, zawrotnie:

— Przychodzę po twoją duszę!

Zdziwiła się... cofnęła z lękiem w głąb fotelu.

— Ja nie mam duszy...

Zapanowała cisza... z sykiem płonął ogień na kominku. W pewnej chwili spytała ciekawie:

— Co to jest dusza?

Zaczął mówić baśń o duszy. Chwytał gwiazdy i topił w zaczarowanych jeziorach z chmur, rozłożonych zachodzącym słońcem, brukował dla niej jakieś płomienne, cudne drogi ku krainom marzenia, w cudne rzeźbione kielichy wsączał trujący jad słów i podawał go jej rozchyłonym ustom, na rozszalałych białych rumakach złożył jej ciało i gnał z nią pędem wichury ku zaczarowanym zamkom na księżycu.

Słuchała ciekawie, jak małe dziecko słucha bajki piastunki w zimowy wieczór. Słuchała go z przymkniętymi oczyma, podana w tył bezwładnym ruchem. Gdy skończył, zamysliła się, uniosła pod światło jedwabny, koronkowy szal i rzekła tajemniczo:



Na rozszalałych białych rumakach gnał z nią pędem wichury.

STANISŁAW BAGIEŃSKI

— Tak... moja dusza jest... we wstawił
Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.
Miał wrażenie człowieka, który, idąc w ciemności, uderzył głową o latarnię. Zasmucił się i chciał umrzeć. Począł mówić o śmierci, o pięknej śmierci. Tak! umrzeć w uścisku ukochanych ramion... a potem być spalonym i wraz z wiatrem, jako szary proch, rozlecieć się po polach...

Uśmiechnęła się:

— Za mało oryginalne.

Otworzyła drzwi sąsiedniego pokoju. W dużej sali przechadzało się dziesięć buldogów. W słabym oświetleniu małej lampki wyglądały potwornie.

Klasnęła w dłonie...

Przez otwór w ścianie rzucono między psy niezwygłego zajęcia. Psy rzuciły się wście-

kle na łup. Zakotłowało na środku pokoju... za chwilę nie został z zajęcia ani kawałek sierści...

Psy oblizywały zakrwawione mordy... oczy zielone świeciły w ciemności drapieźnie.

Przypatrywała się tej scenie z dziecinnym zadowoleniem. Zamknęła drzwi i usiadła znów w fotelu.

Spytał zdziwiony:

— Po co pani trzyma te dzikie bestye?

Zaśmiała się:

— To moi najlepsi przyjaciele... A potem... widzi pan, tresuję je... gdy umrę, każę się psom moim rzucić na pożarcie...

Wzdrygnął się... widział w myśli jej różowe, delikatne ciało, rozrywane przez dzikie, wygłodniałe psy...

Rzekł cicho:

— Pani jest dziwna... dziwna. Skąd pani się wzięła? Czy spadła pani wraz ze śniegiem z księżycą w cichą, białą noc zimową? czy stworzył panią jakiś pijany bóg rzymski z najpiękniejszą kobietą na ziemi? co w pani zmagają się, pokutuje, kołata? jakie myśli krążą pod tem białym czołem, całowanem przez złote obrączki włosów? kto pani jest??...

A ona skarżyła się smutno, jak małe dziecko:

— Nikt mnie nie zna...

A potem wtuliła się w swój koronkowy szal i białe lilie rąk spleła na krzyż na piersiach, jakgdyby chciała obronić się przed czemś ciemnym, obcym, nieznanym...

Przemysł a filantropia

Notatka z wycieczki zamiejskiej.

Pociąg kolejki mareckiej zatrzymał się na przystanku Pustelnik. Z okien wagonu roztacza się widok na grupę budowli, w pośrodku których strzela kłębamii dymu wysoki komin fabryczny.

— Cegielnia? — zapytuję podróżnego, który na teje stacyi wsiadł do wagonu.

— Nie, panie — słyszę uprzejmą informację, — te zabudowania należą do Towarzystwa akcyjnego fabryki parowej dachówek żłobionych patentowanych „Pustelnik”.

Została założona w roku 1892 przez grono obywateli ziemskich, celem wyrabiania dachówek systemu szwajcarskiego, które szybko zyskały uznanie wszystkich pragnących mieć najpraktyczniejsze pokrycie dachów.

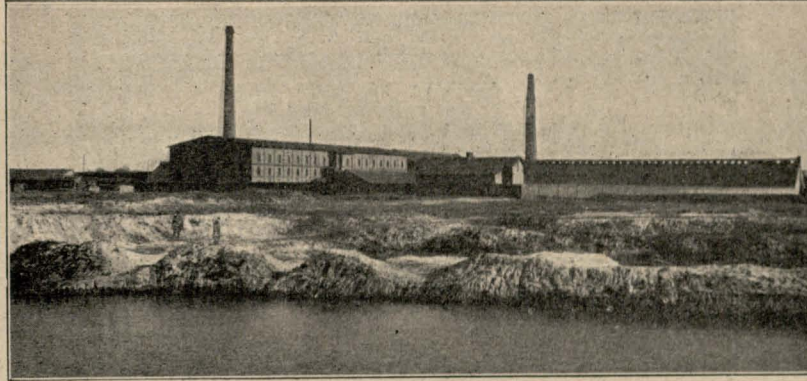
Fabryka „Pustelnik”, w miarę coraz większego rozwoju, w roku 1900 przeszła na własność Towarzystwa akcyjnego z kapitałem zakładowym 700,000 rubli. Zastosowano w niej wszelkie najnowsze wynalazki i maszyny. Dziś konkuruje z dachówkami zagranicznymi, a jego wyroby zostały odznaczone najwyższymi nagrodami na wystawach przemysłowo-rolniczych w Lublinie, Berdyczowie, Wilnie, Petersburgu, a ostatnio na wystawie częstochowskiej.

Jeżeli pana interesują szczegóły, zarząd i kantor fabryki w Warszawie, przy ul. Kopernika 11, nadeśle mu bezpłatnie cennik ilustrowany.

— Gustowny kiosk „Pustelnika” i gablotę w pawilonie głównym — wtrącam — widziałem na wystawie. Przytem mówiono mi, że fabryka bezinteresownie pokryła Dom Przemysłu Ludowego na wystawie.

Mój towarzysz potwierdził ruchem głowy.

— Mieszkam w tych stronach — ciągnął — i jestem dokładnie wtajemniczony w osnowy działalności nie tylko przemysłowej, lecz i społecznej zarządu „Pustelnika”. Bo, uważa pan, w czasach dzisiejszych, nacechowanych pewną



Widok ogólny fabryki „Pustelnik”.



Gablota na wystawie w Częstochowie.

niechęcią pracowników do kapitalizmu wogóle, niełatwą jest rzeczą umieć sobie zaskarbić prawdziwą przychylność sfer robotniczych.

Należy podkreślić także, iż zarząd fabryki, o której mowa, z panem Janem Ulanickim, jako dyrektorem zarządzającym, w epoce krytycznej, jak obecna, umiał nader szczęśliwie połączyć względy produkcji intensywnej z dbałością o kulturalną korzyść rzeszy robotniczej.

Mam tu na myśli wzorowo urządzonej szkołę dla dziatwy pracowników „Pustelnika”, a wiemy, niestety, w jak strasznym zaniedbaniu znajdują się latorośle większej części rodzin, pracujących w okolicach podmiejskich.

— Jest tu zatem szkoła?

— Tak. Zarząd stworzył ją własnym kosztem przed trzema laty niespełna, pierwotnie jako ochronkę. W czasie nieobecności rodziców, zajętych pracą poza domem, dziatwa robotnicza w szkole, oddanej pod opiekę specjalistek, korzysta z opieki niemal macierzyńskiej. W zakładzie tym znajduje wszystko, co sprzyja jej rozwojowi umysłowemu i fizycznemu. Ów tłum maleństw, wychowywany na „porządnych ludzi”, w przyszłości wyrosnie na pożytek społeczeństwa.

Program, ściśle stosowany do wymagań pedagogii, atmosfera rodzinna, rozrywki i obchody świąteczne tworzą całość, doskonale przystosowaną do istotnych potrzeb dziatwy tej sfery.

Więc nie dziw, iż ogół pracowników „Pustelnika” żywi szczerą wdzięczność dla hojnych ofiarodawców, ożywionych chęcią przyczynienia się do dobra społecznego.

Mój wymowny nieznajomy wysiadł na następnej stacyi.

— Szczęść, Boże, dobrym zamiarom! — pomyślałem. PRZYGDODNY.



Szkoła w „Pustelniku”.



Wykłady w szkole.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Młodej mężatce. Na odtuszczenie włosów płu Degresator podług przepisu. Jednocześnie myć głowę mydłem Alkalicznem Karpińskiego, po umyciu optukać kilka razy, łupież zniknie. Mydło to włosów nie pociemni. Dostanie pani we Lwowie u Pawłowskiego, ulica Sykstuska 43. Gdyby te środki okazały się zbyt słabe, należy uciec się do płynu, zwanego *Captoline*, francuskiej firmy *Dufour*. Tamże na składzie.

Pani Helenie. Łamiące się włosy i rozszczeplające na końcach skutecznie leczy olejek *Hel*, firmy *L. Colse* w Paryżu. Codziennie namaszczać włosy w całej długości. Myć co trzy dni w wodzie letniej z mydłem Alkalicznem.

Nudnej. Zbyt tłustą skórę, świecąca się zmatuje po dłuższym użyciu płynu, zwany *Beaume de Bouleau*. Węgry usuwa *Pureol*. Jak dotąd, jedynym środkiem przeciw zmarszczkom okazał się *Abarid*, ale używany nie dorywczo, lecz stale i ściśle, według przepisu, dyktowanego przez osoby, które doświadczyły na sobie dobroczynnego wpływu tego niezawodnego środka. Jeżeli pani używa pudru, należy bezwarunkowo posługiwać się tylko pudrem *Abarid*, który ma w swym składzie sproszkowane cząsteczki cebulki liliowej, tak skutecznie odżywiającej mięśnie twarzy. Rzęsy podczerniać najlepiej ołówkiem *Welda*, który utrzymuje barwę przez dni parę. Brwi zaś, jeżeli są włosy na brwiach, można silnie przyciemnić *Excelsiorem*. Płyn ten, specjalnie do brwi przyrządzony, nie barwi skóry, lecz tylko włosy, trwale. Jest również płyn *Excelsior* do przyfarbowania włosów siwiejących, ale tylko na odcień blond. Najlepsze mydło do twarzy jest *Neutralne*, dla osób zaś, używających *Abaridu*, niezbędne jest mydło *Abarid*.

P. Bronisławie. Dobrze konserwuje skórę krem *Psyche*, może być używany zamiast Goldkremu.

Do Różnych. Na bardziej skombinowane zapytania odpowiadamy chętnie listownie, przy podaniu adresu. Koper ty z zapytaniem upraszamy znaczyć: Dla P. Mercédès. Dla ułatwienia naszym Czytelniczkom wszystkie środki, polecane przez nas, obowiązały się wysłać pocztą perfumerye: *Paszkoarskiego* Marszałkowską 109, i *Perfection* Szpitalna 10.

Mercédès.

GEBETHNER i WOLFF
PIANINA I FORTEPIANY
W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



LUDWIK SZUFA KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

N A D E S Ł A N E.

KALODONT

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.

Żądać wszędzie

**MASZYNY DO SZYCIA
KOMPANJI SINGER**

SPRZEDAJĄ SIĘ
WYŁĄCZNIE W SKLEPACH WŁASNYCH KOMPANJI

WYPŁATA RATAMI
OD
1
RUB. TYG.

KOMPANJA SINGER

MASZYNY
RĘCZNE
OD **25** R.

WYSTRZEGAĆ SIĘ NAŚLADOWNICTW. ZNAK SKLEPOWY. SKLEPY WE WSZYSTKICH MIASTACH KRÓLESTWA.

Ostrzeżenie. Mamy zaszczyt przypomnieć Sz. Publiczności najwięcej rozpowszechnioną zaprawę „HYGIENA“ do podłóg i zaręczam uwagę na to, że w każdej puszcze, wewnątrz, zaprawa pokryta jest pergaminową powłoką z naszym znakiem fabrycznym, zatwierdzonym przez Ministerium. Tylko taka zaprawa jest naszego wyrobu. Nieuczciwych fałszerzy pociągamy do odpowiedzialności sądowej.

Centralne Laboratorium Chem. w Warszawie.

Najlepsza Pasta do Obuwia „INTRYGANT” żądać wszędzie
H. Trembińskiego

L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23
(vis à vis pom. Mickiewicza)
Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

KOMPLETNE
Urządzenia Biurowe
KAROL F. FIŚER
Warszawa, Mazowiecka 10.

G. G. LARDELLI CUKIERNIE
Fabryka Czekolady
Bożena 5 Nowy-Swiat 27, Marszałkowska 68.

Z LABORATORYUM L. LALEUF w ORLEANIE (FRANCYA).
Iodyrina Dr. Deschamp
(Iodhydrate du Dr. Deschamp)
Ogólnie uznany środek przeciw

Otyłości

zalecany przez lekarzy z doskonałym skutkiem.

Jodyrina Dr. Deschamp
USUWA OTYŁOŚĆ stopniowo w bardzo krótkim czasie. Niema ubocznego szkodliwego działania.
Cena pudełka (60 pastyl.) Rb. 4.25 k.
Sprzedają w aptekach i składach aptecznych.

C. Skoryna Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbin, Transmisyje i t. p.
Warszawa-Praga
OLSZOWA 14, Tel. 49.

**MAGAZYN KRAWIECKI
SZWALBE SACHSKA**
ANGIELSKIE PALTA; GARNITURY
GOTOWE I NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

ANTONI MITKIEWICZ Lek.-D-ła
ZAKŁAD LECZNICZY
chorób zębów i jamy ustnej,
przenióst na KRAKOWSKIE-PRZEDM. Nr 7

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa
w Warszawie:
Modest Maryański
Przewodnik polsko-angiel.
Słownik polsko-angielski
dla wychodźców polskich i przybyszów do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady, ułatwić mający stawianie kroków pierwszych w kraju obcym i naukę języka angielskiego z podaniem wymowy i brzmienia każdego wyrazu angielskiego według metody fonetycznej, z dołączeniem niektórych uwag, rad i wskazówek. Wydanie 2. W oprawie rb. 1.20.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism
krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

Owsiana kasza zdrowia, Owsiana mączkę zdrowia, Owsiane kakao zdrowia, Kawa słodową zdrowia, Dozwolone przez warsz. Urz. Lekarski za Nr 6230. Zdrów!

dawniej **Sternicki i Branicki**

Przedstawiciel na Warszawę i gubernię. **Paweł Haida, Niecała 14** (tamże skład) **Żądać wszędzie.**

